

ELŻBIETA GIZELA ERBAN

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

"WYCIECZKA "

Był duszny letni dzień. Akurat głowiłam się w biurze nad tymi piekielnymi wydrukami komputerowymi, jakimi pokarała mnie Bozia za grzechy żywota, kiedy zaterkotał telefon. Dzwoniła pani Krysia z działu socjalnego pytając, czy znajdują się w naszej księgowości chętni na pięciodniową wycieczkę na Węgry organizowaną przez Orbis? Mają jeszcze kilka miejsc, więc gdyby ktoś reflektował... Jeszcze niedawno powtórzyłam ofertę koleżankom i na tym koniec, bowiem miałam przysłowiowe płótno w kieszeni. Na szczęście, Ojcu udało się znaleźć nabywcę na nasz secesyjny kredens oraz klasycystyczną biblioteczkę. Od cioci Marysi dostałam kilkaset dolarów i czułam się bogata jak król Midas. Ostatecznie tych kilka tysięcy nas nie zrukuje.

Miałam nadzieję, że na Węgrzech coś uda mi się kupić, bo od czasu, jak klasa robotnicza zajęła się polityką, a nie pracą, w kraju prawie nic się nie produkuje i półki w sklepach są puste. Chciałabym kupić coś do jedzenia i trochę papierosów, bo swoją normę kartkową wypaliłam i już winna jestem koleżance paczkę Klubowych. Z naszego biura wybierają się dwie panie: Marysia i Marylka, a także kilka osób z innych działów..

Następnego dnia zwolniłyśmy się z Marysią na kilka godzin z pracy i od rana gonimy po mieście. Oczywiście, wszystko na ostatni moment, normalka. Okazało się, że mój dowód osobisty podlega wymianie, należy założyć książeczkę walutową, a nowy dowód musi posiadać pieczęć MO, upoważniającą do przekroczenia granicy. Trzeba jeszcze zrobić zdjęcie do dowodu i załatwić mnóstwo innych spraw. Jak na złość, trzy zakłady fotograficzne odmówiły nam usługi, ze względu na brak taśm filmowych, czy czegoś tam innego. Jak zwykle, w trudnej sytuacji Ojciec służy nam pomocą i załatwia znajomego fotografa. Po trzech godzinach odbieramy swoje zdjęcia. Ja wyglądam "uroczo." Oczy wytrzeszczone jak po atropinie i aniołkowaty uśmiezek krety! Jest to efekt siadania przed obiektywem bez makijażu, spocona i potargana. Ale nic to, grunt, że mamy zdjęcia! Następnie galopujemy do biurowca.

Psiakrew, winda nieczynna! Sapiąc, wspinamy się na najwyższe siódme piętro. Urzędniczka mierzy nas wzrokiem z nieukrywana niechęcią, bo przeszkadzamy jej delektować się wonną kawą. (skąd ona ma kawę?) Z kamienną twarzą oznajmia nam, że dokumenty będą do odebrania za trzy tygodnie. Ogarnia nas rozpacz w ciapki. Przecież wyjazd jest już za dziesięć dni. Wymieniamy z Marysią porozumiewawcze spojrzenia. Z cichym westchnieniem wyjmuję z torby parę rajstop, które wystalam w gigantycznej kolejce. Marysia ze swej strony dodaje grube pęto pysznej, wiejskiej kielbasy. Składamy te dary na biurku najjaśniejszej biurokracji i czekamy w pokorze.

Niech mi nikt nie mówi, że cudów nie ma! Oto na naszych oczach dzieje się prawdziwy cud! Twarz pani urzędniczki łagodnieje. Prosi byśmy usiadły i obiecuje załatwić nasze dokumenty na jutro. Robi nam się błogo na duszy. Nasza radość trwa jednak krótko, bo dowiadujemy się, że należy jeszcze uzyskać adnotację o zameldowaniu, gdyż ta, w starym dowodzie już jest nieaktualna. Na nic się nie zda moje tłumaczenie, że od dwudziestu lat mieszkam na tym samym miejscu. Urzędnik z wydziału lokalowego patrzy na mnie podejrzliwie. Boże, czy ja wyglądam na osobę, która za gołą pensję urzędniczą wystawiła sobie po cichu daczę z basenem?

Marysia wraca do zakładu, a ja wsiałam do taksówki i jadę na drugi koniec miasta do ADM-u, po zaświadczenie, że mieszkam jak każdy praworządny obywatel, w M-3 z łazienką i wc. Od rana upał, 30 stopni C. Samochód jest rozgrzany jak piekarnik. Pot spływa mi po twarzy i szczypie w oczy. Kierowca klnie, bo kończy mu się limit na paliwo. "Lato z radiem" nadaje skoczne piosenki, na przemian z hiobowymi komunikatami o nowych strajkach. Oj, wesoło jak w rodzinnym grobie. W biurze ADM-u zostałam poinformowana, że pani urzędniczka jest u kierownika. Akurat, nie ze mną takie numery! Przed pobliskim kioskiem Ruchu widziałam ogromną kolejkę. Podobno rzucili proszek do prania.

Czekam niecierpliwie półtorej godziny. Nareszcie pani urzędniczka wraca "od kierownika". W siatce taszczy cztery pudełka proszku do prania. Uff, jadę do zakładu zmęczona jak

pies. W kadrach kierownik zwraca mi uwagę, że za długo byłam w mieście, a interesanci czekają. Już mam na języku ostre słówko, ale staram się opanować i stwierdzam, iż po godzinach pracy niczego nie załatwię, bo urzędy już zamknięte. Poza tym, nie jadę za granicę dla przyjemności, lecz dlatego, że w mojej umiłowanej ojczyźnie nie mogę sobie kupić nawet puszek konserw. Błędne koło. Wychodzę i mijając okno kierownika widzę, jak sięga on do szafki i wyjmuję butelczynę, bynajmniej nie z wodą mineralną. Zauważyłam poprzednio, że w biurze cuchnie jak w gorzelni. A tyle się mówi o zakazie picia alkoholu w zakładzie pracy.

Dowiadujemy się, że w kwotę przejazdu należy wliczyć 750 forintów i 90 koron czeskich. Nam wolno zabrać z sobą tylko 1000 złotych. Tyle co nie! 750 forintów to bardzo niewiele, biorąc pod uwagę ceny na Węgrzech. Koleżanki w biurze mają nadzieję, że po powrocie, urządzimy dla nich "małe co nieco". Spragnione jesteśmy jakichś przysmaków, bo przecież w sklepach brakuje dosłownie wszystkiego. Ostatnio wykupili nawet ocet! Naradzamy się gorączkowo, co kupimy za te marne grosze. Okazuje się, że bardzo niewiele. "Bywalcy" radzą nam, zabrać z sobą coś na sprzedaż. Ale co? Na samą myśl, że będę musiała handlować ciuchami, ogarnia mnie: "śmiej pusty, a potem litość i trwoga." Nie posiadam za grosz smykałki do interesów, to nasza cecha rodzinna. Ale dla pewności przeprowadzamy błyskawiczny sondaż na temat, co idzie, a czego nie należy zabierać. Węgrzy są narodem oszczędnym i nie lubią wydawać pieniędzy na luksusy. Dobrze idą nici, kosmetyki, pasmanteria, płaszcze ortalionowe, ręczniki i inne duperele. Na szczęście kosmetyki są u nas tanie, z kremem Nivea na czele.

Zbuntowałam się! Nie zamierzam udawać handlarki. Pojadę z tym, co mi Ludowa Ojczyzna wypłaci w forintach i kropka! Odebrałyśmy z Marysią dowody. Po pracy idziemy do Orbisu i pytamy, jaki jest regulamin wycieczki? Sympatyczna pani informuje nas, że możemy już wybrać sobie pokoje: do wyboru jedno i dwuosobowe. Wybieram jedynekę, bo w nocy muszę mieć ciszę, inaczej nie zasnę. Miejsca mamy już zarezerwowane w eleganckim hotelu w Visegrád, przepięknej miejscowości oddalonej o 30 km od Budapesztu. Pani z Orbisu zapewnia, że będziemy zadowolone. Przed samym wyjazdem otrzymamy czek na forinty i korony i zrealizujemy je już za granicą. Oj, to mi się nie podoba, bo lubię mieć pieniądze przy sobie. Podróż bez grosza, za jeden uśmiech, nie budzi mego zachwyty. Wędrujemy do Komendy MO po pieczętki do dowodów. Znowu męczący upał. W małym, ciasnym korytarzu niesamowity tłok. Tłum zdenerwowanych ludzi szturmuje okienko. Młoda dziewczyna z olimpijskim spokojem przybija pieczętki, nie patrząc interesantom w twarz. Mimo woli przysłuchuję się rozmowom. Polacy stali się z konieczności globtroterami. Przerzucają się nazwami stolic świata: Berlin, Paryż, Londyn, Wiedeń: szczególnie wiele osób wybiera się do Wiednia. Przychodzi mi na myśl porównanie do szczurów uciekających z tonącego okrętu. A może krzywdzę ich tym posądzeniem? Kto wie, czy ci ludzie nie szukają na obcej ziemi tego, czego nie mogą znaleźć w ojczyźnie. Po kilku godzinach nareszcie dopchałyśmy się do okienka. Dokumenty otrzymamy we wtorek. Cóż, dobre i to.

Odpracowuję wolną sobotę. Siedzę w biurze sama i dzwonię zębami. Wczoraj tropikalny upał, dzisiaj zimno i pada ulewny deszcz. Poprzedniego dnia był w naszym zakładzie strajk! Przez sześć godzin siedzieliśmy przy biurkach zupełnie beczynninie. Jestem pełna wątpliwości w skuteczność strajku w biurach. To głupota i marnowanie czasu, co innego strajk w działach produkcyjnych. Strajkujemy, aby wywalczyć wyższą stawkę za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Obecnie otrzymujemy 1 [słownie: jeden złoty] za godzinę. W "Gazecie Robotniczej" ukazał się duży artykuł pani redaktor Niedźwiedzkiej o naszym zakładzie. Pracujemy w warunkach urągających wszelkim normom BHP. Pod oknem naszego biura, ze studzienki unoszą się smrodliwe wyziewy chemikaliów i brudna piana rozlewająca się po trawniku. Jak strajk to strajk. Siedzieliśmy beczynninie, lecz kilka pracowników przekornie pracowało, choć normalnie uważają swoje obowiązki za dopust Boży. Po kilku godzinach nadchodzi telex ze Zjednoczenia.

Zwycięstwo! Przyznano nam wyższą stawkę. Teraz zapłata za szkodliwe warunki wynosi... 2 zł. Alleluja i do przodu! Warto było strajkować? Oj, coś dzisiaj źle się czuję. Boli mnie gardło, a może szyja? Liczę na mojej Ascocie zupełnie mechanicznie. Robię polecenie księgowania i o 13-

tej wsiadam do autobusu i jadę do domu. Dobrze, że jest lato, bo zimą wstaję o 5-tej, gdy jeszcze jest ciemno, jadę autobusem 12 km, i wracam o 15-tej, gdy zapada już noc. Jak zwykle w sobotę, gotuję obiad na dwa dni. Biedne Ojczyisko stał kilka godzin w kolejce po mięso. Wrócił do domu z poobrywanymi guzikami przy kurtce, ale przyniósł ładny kawałek wołowiny. Płakać mi się chce na samą myśl, jaką przykrą i ponurą ma starość. Na obiad gotuję rosół i sztukamię z sosem chrzanowym, młode ziemniaczki i marchewkę z groszkiem. Mam wielką ochotę na kruchy placek ze śliwkami, ale zabrakło mi kartek na mąkę. O cukrze mogę tylko pomarzyć. Dobrze, że nie mam w zwyczaju słodzić kawy i herbaty. Wydaje mi się, że chyba mam temperaturę, bo czuję dreszcze.

Za tydzień wyjeżdżamy!

Niedziela chłodna i mokra. Jak zwykle, idziemy rano z Ojcem na cmentarz, odwiedzić grób Mamusi i zapalamy znicze. Po obiedzie relaks. W telewizji szaro i nudno. W dziennikach katastroficzne przepowiednie. Wolimy dobrą lekturę. Ojciec zagłębia się w "Pamiętnikach Hansa Franka", ja czytam moją ulubioną autorkę panią Hannę Muszyńską Hoffmanową. Uwielbiam jej styl, jakby wzięty ze sztambucha babuni. [to dawne słówko oznacza pamiętnik]. Przez kilka godzin delectuję się frywolnymi przygodami naszych "pań swawolnych", czyli historią przez dziurkę od klucza, ciekawą i pouczającą.

Nie znoszę poniedziałku! Wszystkie nieszczęścia spotykają mnie właśnie w ten dzień, bo jest on dla mnie feralny. Nie wierzę w przesady, ale coś musi być na rzeczy, bo urodziłam się w poniedziałek, na kilka dni przed wybuchem II wojny światowej. W poniedziałek miałam ciężką operację i byłam dosłownie na progu śmierci. W poniedziałek zmarła Mama. W ten dzień spotykają mnie same przykrości. Rano autobus zakładowy spóźnił się o godzinę. Czekaliśmy, stojąc w ulewnym deszczu, bo nikt nie zadbał, żeby w tym miejscu postawić wiatę. A potem kadry narzekają na dużą absencję chorobową. Jestem w ponurym nastroju, bo w moim dziale same kłopoty. Po naradzie z Głównym Księgowym, zaczynam podejrzewać, że szykuje mi się wyjazd do Bydgoszczy, bowiem należy zmienić bibliotekę w komputerze. Bez komputera w biurze, wprowadzenie systemu elektronicznego przetwarzania danych w naszej księgowości, jest idiotycznym pomysłem. Nieustannie wyskakują jakieś niespodzianki, jak diabeł z pudełka, a na korektę muszę czekać aż cały miesiąc.

Powinnam koniecznie ograniczyć palenie. Dopiero połowa miesiąca, a ja już nie mam papierosów. Obiecano mi kilka paczek Klubowych za rajstopy. Wydaje mi się, że wkrótce pieniądze nie będą nam zupełnie potrzebne i powrócimy do handlu wymiennego, jak za króla Ćwieczka. Nie wzięłam z domu śniadania, bo zamierzałam coś zjeść w naszej zakładowej stołówce. Cholera! Zamknięta, robią odszczurzanie! Byłam głodna, więc powędrowałam do sklepiku na wsi, aby kupić sobie chleba i trochę sera. W sklepie duża kolejka kobiet ze wsi. Widocznie czekają na dostawę towaru. Nic nie kupowały, więc próbowałam podejść do lady. Zostałam jednak odepchnięta. Wytlumaczyłam, że zamierzam kupić cokolwiek na śniadanie, bo nasza stołówka zamknięta. Nie chciały wcale mnie słuchać. Jakaś stara megiera rozwrzeszczała się na cały głos:

- Wy, miejskie, to ino patrzycie, co by tu kupić. Aha, niby to po chleb przyszła, a jakby co przywieźli, to pełną torbę wyniesie, a nam gówno zostanie. Kupujcie se w mieście!

Zwróciłam jej uwagę, że mieszkańcy wsi robią zakupy w mieście i nikt ich ze sklepów nie wypędza.

- Ale my na was pracujemy, darmożjady sakramenckie! - rozdarła się kobieta. - Gdyby nie ta wieś, to byśta z głodu pozdychali. Jeszcze im się strajków zachciewa.

Zaraz potem usłyszałam cały arsenał propagandowy, wyciągnięty z czasów "błędów i wypaczeń." Straciłam apetyt i wyszłam ze sklepu, ścigana złośliwymi docinkami. Przeraza mnie narastająca w ludziach w lawinowym tempie agresja. Przed dwoma dniami przywieziono do naszego zakładowego sklepiku trochę słodczy. Stałam w długiej kolejce, aby kupić dla Ojca

trochę cukierków. Po chwili zawołano mnie do telefonu. Kiedy powróciłam z biura i chciałam zająć swoje miejsce, z ust stojącego tam robotnika posypały się ohydne i wulgarne przekleństwa. Mężczyzna wymachiwał mi pięścią przed nosem i obawiałam się, że uderzy mnie w twarz. Mimo, iż uprzedzałam, że zaraz wrócę, nikt ani z koleżanek, czy kolegów nie ujął się za mną i nie zwymyślał brutalnie. Robotnik uśmiechał się z satysfakcją, a ja wybuchnęłam płaczem i pobiegłam do biura. Po pracy wróciłam do domu taka ponura, że Ojciec zapytał mnie zatroskany, co się stało? Gdy opowiedziałam, pokiwał tylko głową. Znał doskonale te sceny z własnego doświadczenia. Zabieram się do prac domowych i gotuję obiad. Zupa ziemniaczana i makaron z serem.

Dalej źle się czuję, ale mam nadzieję, że polepszy mi się po Biseptolu. Niestety, nie ma polepszenia. Lekarz zakładowy kieruje mnie do laryngologa. Okazuje się, że mam zapalenie krtani tak ostre, iż cały wyjazd stoi pod znakiem zapytania. Lekarz odradza mi podróż. Zapisuje mi końskie dawki penicyliny. Biorę zastrzyki w zakładowym ambulatorium, na razie bez skutku. Mimo choroby odbieram z banku książeczkę walutową i dowód w MO. Gdyby nie zbolące gardło i pieski humor, czułabym się jak ekscentryczna turystka, wybierająca się w skromną podróż na antypody z dwoma mopsikami i algatorem w akwarium.

Wstałam dziś zupełnie do niczego i ledwie zipię. Za to pogoda jest śliczna, prawdziwie letnia. Ziewam, bo jest dopiero 5,30, a w nocy źle spałam. Tatko zmartwiony moim żalonym wyglądem, głośno się nade mną użala. Oboje zastanawiamy się z niepokojem, jak w tym stanie zniosę długą, męczącą podróż. Radio bez przerwy nadaje komunikaty o dalszych strajkach. Ani rząd, ani robotnicy nie zamierzają ustępować. Przed paroma dniami jakiś towarzysz z Komitetu Wojewódzkiego zapewniał, że strajkujących weźmie się głodem. Hm, przynajmniej wiadomo czego mogą się spodziewać! Strajkujący także się odgrają, a ten wąsaty Wałęsa krzyczy, że: „Socjalizm tak, wypaczenia nie!” Ech, strachy na Lachy!

Zwrócono mi uwagę, że bym odpięła swoją odznakę Solidarności, noszoną przy kołnierzyku bluzeczki. Jeszcze czego! Uważam, że krajowi należą się nowe rządy i głębokie reformy. Jednak nie znoszę krzykaczy i karierowiczów, a niestety w nowym Związku już ich nie brakuje i tego się boję. Naprawdę lękam się, że oni zniszczą ten wspaniały oddolny ruch społeczny. Zareagowałam na uwagę dosyć ostro i teraz atmosfera w biurze jest napięta.

Dziś przewodniczący nowych związków zwołał meeting. Zebraliśmy się w hali siarkowni. Ludzi przyszło takie mrowie, że nie dla wszystkich starczyło miejsca i wielu stało na dworze. Kolega Z. który powrócił właśnie z Jeleniej Góry, gdzie odbył się strajk głodowy w "Gencjanie", opowiada, że na granicy czeskiej i niemieckiej zaobserwowano gromadzenie wojska. Robi się naprawdę wesoło! Jakby tak Czesi zechcieli teraz zrewanżować się nam za rok 1938 i 1968, a Niemcy za 1945, to raczej byłoby nam ciepło! Jestem protokolantką i notuję pilnie obrady, a obecni uważnie przysłuchują się każdej wypowiedzi. Potem śpiewamy "Boże, coś Polskę". Niektórzy mają łzy w oczach. Uchwalono ponowny strajk ostrzegawczy. Nasze zarobki są bardzo niskie, a warunki pracy opłakane. Dyrektorzy i Związki Zawodowe robią co mogą, ale mogą naprawdę niewiele. Jednak bardzo się starają i w tych ciężkich czasach nasi pracownicy mają więcej niż inni. Za cement dostajemy konserwy, kawę, wełnę, czekoladę, a nawet cukier, naczynia czy pościel. Kupiłam śliczny komplet pościelowy, dosłownie za grosze. Na święta przywożą nam ryby i różne przysmaki.

Trzeba uczciwie przyznać, że mimo wszystko w Polsce jest tanio. Czynsze, żywność, prąd, odzież, gaz, lekarstwa, pociągi i hotele. Ja za moją skromną pensję urzędniczą mogę kupić sobie suknie w Modzie Polskiej lub w Telimenie, a buty z Syrenie. Dwa razy do roku wyjeżdżamy z Ojcem do Krakowa i na kilka dni zatrzymujemy się w ekskluzywnym hotelu „Pod Różą”¹, potem

¹ W maju b.r. pokazywano w telewizji hotel "Pod Różą". Jest już niedostępny dla zwykłych śmiertelników. O ile mnie słuch nie mylił, nocleg w nim kosztuje 1600 zł! O nasz ukochany pokój 304 - tyle w nim cudownych wspomnień! Rano siadałam na szerokim marmurowym parapecie i pijąc kawę, wyglądałam na

jedziemy do Zakopanego, lub nad morze. Nieco wcześniej wyjeżdżaliśmy razem za granicę, do Francji, Hiszpanii, Grecji, Włoch, do Bułgarii i na Krym, a nawet do Gruzji!. Zwiedziliśmy pół Europy i nikt nie robił nam żadnych trudności. Tyle, że dewiz było bardzo mało i należało oszczędzać, licząc się z każdym groszem. Rodzina miała nam ze złe, że nie przysłaliśmy im pocztówki z podróży..

W zakładzie zaczyna się ferment i nowi przywódcy dochodzą do głosu. Jedni popierają "Solidarność", spodziewając się korzyści, inni stoją twardo za dawnymi Związkami CRZZ. Ci nowi, są bardzo rzutcy i mają gadanego. Oby byli lepsi, jak ci poprzedni. Bardzo współczuję naszej szefowej poprzedniego Związku. Obecnie ma mnóstwo niezawinionych przykrości, a przecież to bardzo dobra, serdeczna kobieta, zawsze życzliwa ludziom i śpiesząca im z pomocą.

W biurze koleżanki już mają Reisefieber², tylko ja kiwam się smętnie nad klawiaturą Ascoty i usiłuję liczyć, odpowiadając na pytania monosylabami. Idę do ambulatorium na zastrzyk i po drodze spotykam Kurczątko, czyli Irenkę, nazywaną tak pieszczotliwie ze względu na drobną figurkę. Irenka, jak zwykle rozsądna i serdeczna, radzi mi iść prywatnie do innego laryngologa, a dopiero potem podjąć decyzję o rezygnacji z podróży. Mam szczęście – kochany doktor oświadczył, że jechać mogę, jednak muszę bardzo na siebie uważać, bo stan krtani jest jeszcze poważny. Zapisuje mi mnóstwo leków, które muszę brać w podróży, ale tym razem w tabletkach. Prosto od lekarza, idę do Orbisu po czeki i dokładne informacje, dotyczące samego wyjazdu. Dostaję pisemną instrukcję o tym, co mi na wycieczce robić wolno, a czego nie wolno. Wynika z niej jasno, że właściwie niczego mi nie wolno. Ha, zobaczymy!

Może to tylko autosugestia, ale dziś wstałam o wiele zdrowsza. Mam dobry humor i z apetytem jem śniadanie. Planuję głośno, co z sobą zabiorę i jakie skarby przywiozę. W biurze energicznie zabieram się do pracy i liczę, nie zważając na głośne rozmowy. Telefonowała koleżanka; ma dla mnie nową książkę, o jaką ją prosiłam. Umawiamy się w kawiarni. Wracam do domu i zabieram się do gotowania. Robię sałatkę z pomidorów i słucham czytanego przez Ojca listu od ciotki Maryni. Biedna, ma zapalenie żył w lewej ręce. Zamierzam jeszcze przed wyjazdem napisać do niej list. Samotna starość, to chyba największe nieszczęście, jakie może spotkać człowieka.

Koleżanka przyniosła mi książkę, której od dawna szukałam. Korzystając z pięknej pogody, siadamy na tarasie kawiarni pod parasolem. Podchodzi do nas kelnerka. Ma minę męczennicy i bez słowa staje przy stoliku. Zawsze mnie to denerwuje, jesteśmy jej gośćmi, więc powinna powiedzieć: "dzień dobry". Zamawiamy dwie kawy.

- Nie ma kawy. - informuje nas kelnerka ospałym tonem. Wobec tego prosimy o dwie herbaty.

- A cukier panie mają? - pyta kelnerka, patrząc osowiałym wzrokiem ponad naszymi głowami.

- Ja mam mieć cukier? Po co? - dziwię się naiwnie.

- Do herbaty.

- Nie mam. - odpowiadam coraz bardziej zdumiona.

- Cukier należy przynieść z sobą. My dajemy tylko herbatę! - poucza nas kelnerka i coraz więcej zniecierpliwiona pyta: - To co w końcu mam podać?

Floriańską, podziwiając wschód słońca lub flirtując z przechodzącymi pod oknem żołnierzami, Budziłam się i zasypiałam, słysząc hejnał mariacaki. Na Floriańskiej u prywatnego szewca, Ojciec kupił ma na urodziny wystrzałowe szpilki, a w Modzie polskiej szalową kreację, której mi potem serdecznie zazdrośczone. Gdzie te czasy? Gdzie ta młodość?

2 Reisefieber - gorączka podróży, napięcie przed podróżą.

.- Może jest sernik?

- Nie dowieźli, bo nie ma sera. - wyjaśnia, spoglądając na nas z coraz większą niechęcią.

Koleżanka mruga do mnie i pyta niewinnie :

- A wódka jest?

- Jest. Podać ćwiartkę?

....."Ukochany kraj, umiłowany kraj!"...- intonujemy z koleżanką zgodnie i wychodzimy z kawiarni, odprowadzane ogłupiałym wzrokiem kelnerki.

Ostatni dzień w pracy przed wyjazdem. Koleżanki jadące ze mną jednak zabierają coś z sobą. Jakies drobiazgi, bo co można teraz dostać? Pozostałe panie życzą nam dobrej podróży i podmawiają się o odrobinę słodyczy. Naturalnie, będziemy pamiętać. W domu gotuję dla Ojca obiady na trzy dni, aby nie musiał pichcić sobie posiłków. Raz tylko zje obiad w restauracji. Pakuję torbę podróżną – wyłącznie najniezbędniejsze rzeczy. Na sprzedaż zabieram nowy, śliczny seledynowy peniuar, z kremowymi koronkami, nowy sweterek, oraz kupiony w Zakopanem zakieciak z owczej wełny. Jest naprawdę piękny, biały z różowymi zdobieniami i kapturem. Sprzedam, to dobrze, a jak nie, to będę miała na chłodniejsze dni.

Tak trudno mi zostawić Ojca samego, bo nie lubię się z Nim rozstawać. Liczymy jednak na to, że coś z Węgier przywiozę. Kładziemy się o 21-wszej, kiedy za oknem jeszcze jasno. Z głębokiego snu, budzi mnie natarczywy terkot budzika w pokoju Ojca. Jest trzecia nad ranem. Za oknem dziwne, niemal mistyczne światło świtu, zmagającego się z nocą. Okropnie chce mi się spać. Słyszę, że Ojciec wstał i nastawia wodę na herbatę. Wyskakuję z łóżka i pośpiesznie się ubieram. Robię staranną fryzurę i makijaż. Szykuję kanapki i zaparzam do termosu mocną kawę. Aby ją kupić, stałam w kolejce niemal cztery godziny. Zabieram lekarstwa i wychodzimy z domu.

Ojciec odprowadza mnie do autokaru. Idziemy przez ciche, uśpione ulice miasta. Niebo na wschodzie zaczyna różowieć, gwiazdy bledną. Czerwony autobusik orbisowski już czeka. Pilota jeszcze nie ma. Przyszłam pierwsza i zajmuję pojedynczy fotel za kierowcą. Idealne miejsce do obserwacji i drzemki. Uporawszy się z bagażem, wychodzę z auta na papierosa. Paskudny nałóg, ale teraz żyje się samymi nerwami. Obserwujemy z Ojcem schodzących się wycieczkowiczów i z podziwem patrzymy na dźwigane przez nich toboły. Jezu, jak oni to przepchają podczas odprawy celnej? Widzę kilka znajomych twarzy z miasta, w końcu zjawiają się moje koleżanki. Dochodzi piąta, jak zwykle paru spóźnialskich nadbiega z językiem na brodzie i sapiąc sadowią się w tyle wozu. Są z tego powodu niezadowoleni i coś gniewnie pomrukują. Dobrze im tak! Punktualność jest grzecznością królów, a obowiązkiem zwykłych śmiertelników.

Trochę wcześniej przyszła pilotka wycieczki, mała, szczupła osóbką, ostrzyżona na punka, w obcisłych džinsach, podkreślających chude, ale za to bardzo krzywe nogi. Moim zdaniem, powinna nosić suknie z trenem! Siada koło kierowcy i zarządza odjazd. Żegnam się z Ojcem, czując bolesny ucisk w sercu. Dotąd zawsze i wszędzie jeździliśmy razem. Pocieszamy się, że to tylko kilka dni. Ruszamy i przez krótką chwilę widzimy Ojca, z uniesioną w pożegnalnym geście dłonią. Mam w oczach łzy.

Na szczęście miejsce zajęłam wygodne. Mogę swobodnie rozłożyć się i drzemać, siedząc w pozycji półleżącej. Tylko palić nie wolno! Przez Lwówkę, Jelenią Górę i Kowary, kierujemy się ku czeskiej granicy. Nie jestem wcale senna, bo z termosu nalałam sobie trochę "szatana" i czuję się zupełnie wypoczęta. Wstaje piękny, słoneczny lecz chłodny dzień. Z pól, wznoszą się ku błękitnemu niebu białawe mgły. Na horyzoncie widać już pasmo Karkonoszy. Ponieważ znam dobrze tę trasę, wyciągam z torby notatnik i próbuję pisać. Pismo odrobinę krzywe, ale czytelne. W Jeleniej Górze, kierowca tankuje, bo paliwa musi nam starczyć aż do miejsca zakwaterowania, gdyż przez Czechy jedziemy tranzytem, zatrzymując się tylko w Bratysławie na obiad. Za Kowarami wspinamy się coraz wyżej serpentyną, po obu stronach drogi gęsty sosnowy las.

Prześliczna okolica, przypomina mi trakt do Morskiego Oka. Brakuje tylko olbrzymich

nawisów skalnych i tego kamiennego grzebienia turni na tle nieba. Pasażerowie powoli budzą się z drzemki, zaczynają rozmawiać i dzielić się doświadczeniami z podróży, bo niektórzy z nich podróżują na Węgry kilka razy w roku i nie są takimi żółtodziobami, jak my. Budzi się także pani pilotka, włącza intercom i rozpoczyna wykład historyczno-geograficzny, dosyć pobieżnie opracowany. Ludzie słuchają jednym uchem, bo większość zabiera się do spożywania śniadania. Trzaskają skorupki jaj na twardo, rozbijanych o poręcz fotela, a po autokarze rozchodzi się charakterystyczny zapaszek. Nie mam chęci do jedzenia, staram się również oszczędzać kawę w termosie, musi mi starczyć do końca podróży. Wolę oglądać przez okno wspaniałe widoki. Z prawej strony odsłania się przepiękna panorama na Śnieżkę i dolinę Karpacza. Ogromny masyw Śnieżki dziś wyjątkowo nie jest pokryty chmurami, a boki góry pokrywa biały śnieg.

Przejsie graniczne znajduje się na szczycie góry, pośród gęstego lasu. Zatrzymujemy się przed ładnym oszklonym pawilonem. Podchodzi do nas żołnierz ze straży granicznej i poleca nam opuścić autokar. Wsiadam i aż zachłystuję się czystym jak kryształ, lodowatym powietrzem poranka. Bardzo chłodno i żałuję, że nie wzięłam pod kurtkę ciepłego swetra. Jest w torbie, ale teraz nie mogę się do niej dostać, bo jest zamknięta w autokarze. Chłód jest przenikliwy, ale w czystej, jasnej poczekalni nawet dosyć ciepło. Wypełniamy deklaracje celne, palimy papierosy i rozmawiamy. Marysia boi się, że celnicy skonfiskują jej pasmanterię, którą wiezie na sprzedaż. Śmiejemy się z jej obaw, patrząc na toboły innych wycieczkowiczów. Ciekawa jestem, kiedy będziemy w Visegrád i jaki czeka nas nocleg. Jak to dobrze, że zamówiłam sobie pojedynczy pokój, bo wieczorami będę mogła na gorąco spisywać wrażenia. Obiecuję sobie wiele doznań estetycznych – będziemy przecież mieszkali w Visegrád, dawnym ziemskim raju. Odprawa celna zakończona, możemy ruszać. Jeszcze tylko ostatnie, chciwe zaciągnięcie się dymem z papierosa i wsiadamy do autokaru, każdy na swoje miejsce. Podziwiam wprawę celników. Nasze bagaże były dokładnie sprawdzane, ale wszystko jest w idealnym porządku.

Przed nami unosi się biało-czerwony szlaban. Żegnaj Polsko – do zobaczenia za sześć dni! Jedziemy na Dwur Kralowe i Hradec Kralowe, przez Pardubice, koło toru wyścigów konnych, morderczego i śmiertelnie niebezpiecznego dla ulubionych przeze mnie zwierząt. Mijamy Brno i zbliżamy się do Bratysławy. W miarę jak góry pozostają za nami, robi się coraz cieplej. Świeci jaskrawe słońce. Z rozkoszą uchylam okno i oddycham wonią świerków. Mijamy śliczne czeskie miasteczka ze średniowiecznymi rynkami i figurami świętych Nepomucena i Wacława, stojącymi na środku placu. Na szczytach gór widzimy wiele wspaniałych zabytkowych zamków w doskonałym stanie. Jak to widać, że przez tę krainę nie przetoczył się walec wojny. Zaraz na wstępie spostrzegam różnicę między tym krajem, a Polską. Tutaj jest porządek.

Właśnie przejeżdżamy koło małego dworca kolejowego i aż przyjemnie popatrzeć, jaki tu jest ład. Belki drewna poukładane w pedantyczne sągi, rury metalowe przykryte plandekami, żeby nie rdzewiały, jakieś skrzynki poustawiane dokładnie jedna na drugiej. Wagony towarowe czysto pomalowane, pociągi osobowe mają umyte szyby. Porządniejsze są także gospodarstwa rolne. Płatki ładnie pomalowane, okna czyste z całą masą kwiatów. Bydło pasące się na łąkach również umyte, bez tych obrzydliwych placków gnoju na sierści³.

Natomiast obiekty sakralne są widocznie zaniedbane. Piękne gotyckie lub barokowe kościoły, zostały częściowo przeznaczone na magazyny lub do rozbiórki. Czesi nie są zbyt religijni, albo może tu reżim jest twardszy niż u nas. Mimo wszystko, Polska cieszy się dużą swobodą. W tutejszych miastach i na słupach ogłoszeniowych wielkie afisze z sylwetką robotnika lub traktorzysty. Przypomina to slogany propagandowe z okropnych czasów stalinowskich. Na każdym zakładzie przemysłowym czerwone gwiazdy, jakie u nas zrzucano z szybów kopalń w 1956 roku. W ogóle atmosfera przypomina Polskę z lat pięćdziesiątych. Nic nie pozostało z entuzjazmu i

3 W roku 2010 jechałam tą samą trasą. Obecnie Czechy są szare i nijakie. Zupełnie inne wrażenie sprawia Polska, zadbane i kolorowa, prawdziwie europejska.

wolnościowych nastrojów roku 1968. Polacy nie cieszą się tutaj sympatią. Czesi patrzą na nas wilkiem i uparcie udają, że nie rozumieją języka polskiego – jakbyśmy mówili po chińsku. Trudno im się dziwić, pamiętają gasienice polskich czołgów rozjeżdżających czeskie pola. Fatalny sierpień 68 roku i Zaolzie w 1939 roku, sprawiły, że straciliśmy przyjaźń narodu, najbliższego nam historią, kulturą i językiem.

Już cztery godziny nie opuszczamy autokaru, trochę to męczące, bo pomimo otwartych okien jest duszno. Mam ochotę na papierosa. Widocznie inni myślą o tym samym, bo rozlegają się głosy proszące o postój. Zatrzymujemy się na parkingu w gęstym lesie, przy małym domku z werandą zastawioną stoliczkami i ławkami. Tym razem nie będzie zwykłego w takiej sytuacji zawołania: - "Panie na prawo, panowie na lewo!" Bardzo się tego obawiałam, bo z nerwów rzadko udawało mi się coś zdziałać. Tłumnie idziemy do domku i na progu zatyka nas ze zdumienia. Wszystko wokół lśni czystością. Na rolkach mnóstwo papieru toaletowego, za którym w kraju trzeba stać godzinami. Papier jest pachnący, w różowe kwiatuszki, i to nas już ostatecznie dobija. Obok luster, papierowe ręczniki, pachnące mydła i czynne suszarki do rąk. Dopiero teraz zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy za granicą. Oj, żeby tak u nas!... - wzdychamy.

Po krótkiej przerwie wsiadamy do autokaru i jedziemy dalej. Pytamy pilotkę, gdzie zmienimy czeki na korony? Okazuje się, że dopiero w Bratysławie. Kantory wymiany walut znajdują się w hotelu, w którym zjemy obiad. Postanawiam, że kupię sobie jakiegoś soku owocowego i paczkę papierosów, a przy okazji wyślę do Taty pocztówkę z pozdrowieniami. Wraz z upływem godzin wzmagają się upały. Kolejno ściągamy z siebie kurtki, swetry i siedzimy w samych bluzkach, panowie w rozpiętych po pępek koszulkach, prezentując owłosione torsy, a mimo to kroplisty pot ścieka nam po twarzach. Niektórzy usypiają, tak jak siedząca w pobliżu Marysia. Chrapie tak głośno, że zagłusza pracę motoru.

Morawy pozostały daleko za nami, na horyzoncie, pomiędzy wierzchołkami gór, dostrzegam wieże Bratysławy, stolicy i zarazem największego portu rzecznego Słowacji. Bratysława – dawna twierdza rzymska, zachwyca mnie swoim pięknem. To prześliczne miasto, a Słowacy potrafili ze smakiem pogodzić wymogi nowoczesności, z zabytkami średniowiecza. Mijamy właśnie potężny zamek z IX w. górujący nad miastem. Ongiś musiała to być niezdobyta twierdza. Dla równowagi z zamczyskiem, z sąsiednich wzgórz strzelają w niebo smukłe wieżowce. Wyobrażam sobie, jaki z okien tych domów musi być widok! Miasto przecięte jest wstęgą Dunaju, z dużym portem rzeczny. Widzimy w nim zacumowane statki floty handlowej.

Autokar staje przed nowoczesnym hotelem "Carlton", gdzie zamówiono dla nas obiad. Odrobinę stremowani wchodzimy do ogromnego westybulu, wyłożonego ciemnym marmurem. Służba hotelowa w uniformach suto szamierowanych złotymi sznurami, krząta się koło dewizowych gości, jakich tutaj nie brakuje. Ich błyszczące limuzyny stoją na parkingu. Na nas nikt nie zwraca uwagi. Pilotka pogadawszy z recepcjonistą, prowadzi nas do wspaniałej sali jadalnej, wspartej na rzędach marmurowych kolumn. Zasiadamy do stołów i czekamy na posiłek. Jestem już bardzo głodna i spragniona. Gorsza sprawa, że chcę skorzystać z toalety. Problem w tym, iż tu za toaletę trzeba płacić, a my jeszcze nie mamy koron.

Pilotka gdzieś się ulotniła razem z kierowcą, siedzimy i czekamy, aż ktoś się zlituje i poda coś na ząb. Po sali suną wyfraczeni kelnerzy, dźwigając błyszczące tace pełne półmisek i butelek wykwintnych trunków. Przy sąsiednim stoliku siedzi para Japończyków, obsługuje ich aż trzech kelnerów, stojących w pozie pełnej szacunku, każdym gestem podkreślając rangę luksusowego przybytku obfitości. Właśnie przyciągnęli lśniący niklem wózek i ustawiają na stole wonne, apetyczne potrawy. Otwierają butelki zagranicznego wina, owinięte w białą serwetę. Czekamy już prawie godzinę, kręcąc się coraz niespokojniej na krzesłach. W końcu jeden z panów nie wytrzymał nerwowo i poszedł poszukać kantoru wymiany walut. Po chwili wraca i oznajmia nam, że kantor zamknięty, bo jest wolna sobota! Patrzymy na siebie z przerażeniem. Co robić? Jedyna rada, to zjeść szybko obiad i wyjechać za miasto, gdzieś w krzaczki. Tymczasem siedzimy z

kurczowo ściśniętymi kolanami i czekamy, aż raczą nas obsłużyć. Brak dobrej organizacji daje się nam we znaki, już na samym początku podróży. Powoli zaczyna zalewać mnie zła krew. Obawiam się, że niedługo czeka nas więcej paskudnych niespodzianek. Najgorsza jest świadomość braku własnych pieniędzy i całkowita zależność od czyjegoś widzimisie.

Nareszcie zjawia się pani pilotka, odświeżona, uśmiechnięta, z nałożonym na twarz nowym makijażem. Zdażyła przebrać inną bluzkę tak wydekoltowaną, że mogłaby jej od biedy służyć za figi plażowe. Za panią pilotką ukazują się kelnerzy. Bez pośpiechu nakrywają do stołu, a potem w równie żółtim tempie, przynoszą wazy z zupą i nalewają do kufli piwo. Chce mi się pić, lecz zdaję sobie sprawę, że wypicie tego piwa przyspieszy tylko katastrofę. Jemy z pośpiechem zupę jarzynową, jakieś knedliczki z sosem i mikroskopijnym kawałkiem mięsa. Menu raczej ubogie, jak na tak elegancką restaurację. Niestety, nie mamy dewiz i nie jesteśmy Japończykami. Po obiedzie wypadamy biegiem z hotelu i wskakujemy do autokaru. Paru wycieczkowiczów jawnie klnie złą organizację. Pani pilotka obraża się na słowa krytyki i zamiast nas przeprosić, za karę przestaje się do nas odzywać, traktując wycieczkowiczów jak powietrze.

Korzystamy z pierwszego lepszego lasku, gdzie możemy sobie ulżyć, nie płacąc za to koronami. Uff!!!...O wiele lżejsi siadamy na swoje miejsca i ruszamy ku granicy węgierskiej. Granicę przekraczamy w Raba. Teraz jest nam lekko na duszy i w bagażach, toteż spokojnie oczekujemy przybycia celników. Trzepanie zacznie się dopiero w drodze powrotnej. Pomimo długiej kolejki aut czekających na odprawę celną, ta ostatnia przebiega bardzo sprawnie, a celnicy są uprzejmi, mówią nawet do nas po polsku. Budynek punktu granicznego jest elegancki, cały ze szkła. Znajduje się w nim restauracja oraz kioski z pamiątkami, lecz my nie posiadamy pieniędzy, a polskich złotych nikt tu nie honoruje.

Po skończonej odprawie, ruszamy przez Győr i Komarno, w kierunku Budapesztu. Jedziemy Niziną Węgierską i z obu stron szosy, jak okiem sięgnąć, rozciągają się pola kukurydzy. Miasta i miasteczka śliczne i zadbane zapraszają do zwiedzania - ale my nie mamy forintów i czasu, bo jeszcze przed nocą musimy dojechać do Visegrádu. Na szosie duży ruch, wiele aut z tablicami niemieckimi. Przeżywamy ciekawe wydarzenie. Na masce naszego autokaru powiewa biało-czerwona chorągiewka. Kilka niemieckich samochodów zwalnia i przyjrzawszy się nam, pokazują nam "zajączka"; dwa palce uniesione w górę, w symbolicznym znaku solidarności. To sprawia nam przyjemność, bo w Czechach traktowano nas jak urwanych z powroza, wzruszając ramionami na dźwięk polskiej mowy.

Nowoczesna architektura węgierska budzi nasz zachwyt swoją funkcjonalnością i pomysłowością. Domy w osiedlach wyłożone są szklanymi płytami w różnych kolorach. W blasku zachodzącego słońca, daje to fantastyczny efekt, bo budynki sprawiają wrażenie ogromnych rubinów, szafirów czy szmaragdów. Na Węgrzech nie ma gospodarstw indywidualnych jedynie spółdzielnie, ale przy każdej spółdzielni kolonia domków jednorodzinnych. Ładne domki z dużymi werandami, toną w powodzi kwiatów. Przed każdym z nich ogródek tak wypielęgnowany, że mógłby służyć za wzór przy projektowaniu parku. Są tam skalniki, fontanny i altanki porośnięte bluszczem. Raj, który można przykryć chusteczką do nosa.

Kończy się monotonna niziną i przed nami ukazują się wzgórza porośnięte lasem, zaś po lewej stronie widać olbrzymią rzekę. To Dunaj – będzie nam towarzyszył aż do Budapesztu. Przejeżdżamy przez Esztergom, czyli dawny Ostrzyhom, ze wspaniałym zamkiem i monumentalną katedrą podobną do bazyliki Piotra i Pawła w Rzymie, gdyż to miasto jest siedzibą prymasa Węgier. Pani pilotka w końcu raczyła otworzyć usteczka i obiecuje nam, że jutro tu przyjedziemy. Uwielbiam historię oraz zabytki i obiecuję sobie wiele wspaniałych wrażeń, bo dużo o tym sławnym mieście się naczytałam. Zapada pogodny wieczór, przez szeroko otwarte okna wpada upalne powietrze, niczym z nagrzanego pieca. Kończy mi się w termosie kawa i mam pragnienie, ale wolimy się nie zatrzymywać, bo chcemy jak najszybciej dojechać na miejsce. Okolice stają się coraz bardziej górzysta, kopulaste pagórki porośnięte lasem w świetle zachodzącego słońca

przybierają barwę różową. Pomiędzy wzgórzami płynie Dunaj, wijąc się w ostrych meandrach, a fale rzeki błyszczą osłepiająco w ostatnich promieniach słońca, jak strumienie płonącej lawy. Powoli robi się coraz ciemniej, a sylwetki drzew na tle purpurowych zórz zachodu wydają się czarne, niczym rysunki tuszem.

O 21-wszej przyjeżdżamy do Visegrádu, małego urokliwego miasteczka, leżącego nad samym brzegiem Dunaju. Miasto otaczają wysokie wzgórza. Mieliśmy nadzieję, że to już koniec podróży, tymczasem okazuje się, że nie, bo jedziemy dalej, wspinając się serpentynami aż na sam szczyt góry wznoszącej się nad miastem. Na samym szczycie znajduje się luksusowy hotel "Silvanus", otoczony rozległym parkiem przechodzącym w las, ale jest już noc i niewiele widać.

Wysiadamy na oświetlonym parkingu i wyładujemy nasze bagaże. Kręci mi się ze zmęczenia w głowie, marzę o kąpieli i wygodnym łóżku. We wspaniałym hallu wyłożonym czerwonymi płytami, stoją głębokie i miękkie fotele, wszystkie w purpurowym kolorze. Siadam, a raczej zapadam się w miękkie poduszki i obserwuję jak pilotka radzi sobie przy pomocy wytwornej recepcjonistki i razem rozdzielają pokoje. Czekam z niecierpliwością aż wywołają moje nazwisko, a potem spać! Jak to dobrze, że mam pokój tylko dla siebie, bo marzę o oderwaniu się od hałaśliwego towarzystwa i odpoczynku w samotności. Rozdzielono już większą część numerów, a o mnie jakby zapomniano. Wobec tego wstaję, podchodzę do pilotki i pytam kiedy otrzymam swój pokój? Wtedy bomba pęka. Nie mam pokoju! Dwie jedynki pilotka przeznaczyła dla siebie i kierowcy, reszta wycieczkowiczów została rozmieszczona w dwu i trzy osobowych pokojach. Jestem taka wściekła, że przez chwilę tracę zdolność artykulacji. Oświadczam pilotce, że nie dotrzymano wobec mnie warunków umowy przez Orbis, który ona reprezentuje. Należało mnie poinformować, iż taka sytuacja może zaistnieć. Pilotka patrzy na mnie obojętnie.

- To już załatwi pani sobie po powrocie do kraju, bo ja nic na to nie poradzę

Zostałam na lodzie, bo pokoje już są rozdzielone. W końcu moje koleżanki, którym dostał się pokój dwuosobowy, proponują zamienić go na trójkę z tym, że zamieszkam z nimi. Nie mam wyboru. Zgadzam się i dziękuję. Wolę mieszkać z koleżankami z biura, niż z jakimiś obcymi babami. Po schodach krytych purpurowym dywanem, tak grubym, że toną w nim stopy, wchodzimy na drugie piętro do naszego pokoju. Jest niewielki, ale uroczy, wytapetowany niebieską tapetą w kwiatki polne. Posiada duży balkon zawieszony nad gęstym lasem sosnowym. Łazienka jest luksusowa, kąpiemy się kolejno, przebieramy i schodzimy na kolację. Sala restauracyjna, podobnie jak hall, w kolorze nasyconej czerwieni. Na ścianach piękne reliefy ze scenami z mitologii greckiej oraz myśliwskimi. Od purpurowego tła ścian ładnie odbijają śnieżnobiałe serwety na stołach. Siadamy na miękkich krzesłach z poręczami. Natychmiast zjawiają się kelnerzy w białych frakach i roznoszą potrawy.

Nie znam tych dań, coś jakby pilaw, bo jest ryż z mięsem, papryką i jarzynami, jednak o wiele pikantniejszy niż risotto. Piecze mnie język i rozglądam się za herbatą. Ale herbaty nie ma, są tylko wielkie syfony z wodą mineralną i soki owocowe. Nalewam sobie soku pomarańczowego, lecz lepki napój tylko wzmacnia pragnienie. Na szczęście wzięłam herbatę z domu, mam grzałkę, więc po powrocie do pokoju zrobię sobie mocną herbatę. Dopiero później dowiedziałam się, że Węgrzy prawie nie używają herbaty, uważając ją za lekarstwo przy dolegliwościach żołądkowych. Ilekroć na Węgrzech poprosiłam o szklankę herbaty, zawsze obrzucano mnie współczującymi spojrzeniami. Wracamy do pokoju i dopiero teraz zwracam uwagę na elegancką dębową boazerię na klatce schodowej, z ciekawą intarsją. Na każdym półpiętrze istny ogród botaniczny. Palmy, pnące róże rozpięte na specjalnych drabinkach i wiele innych roślin tropikalnych o odurzającym zapachu. Podobnie ozdobione są balkony ciągnące się wzdłuż całego budynku. Pomiędzy palmami, stoliczki i fotele tak przemyślnie ustawione, ażeby widz miał najpiękniejszy widok przed sobą. W pokoju tapczany są miękkie, toteż zaraz się rozbieramy i kładziemy. Marysia, dla oszczędności miejsca, nie zabrała ani koszuli nocnej, ani piżamy. Patrzymy ze zdumieniem, jak naga, niczym święty turecki, wskakuje pod kołdrę. Koleżanki

zasypiają natychmiast, ja nie mogę zasnąć, bo Marysia głośno chrapie. Nie jestem przyzwyczajona spać z drugą osobą i męczę się do rana.

Budzę się z drzemki z paskudną migreną. Koleżanki już wstały i śmieją się ze mnie, nazywając mnie śpiochem. Dobrze im mówić, całą noc spały. Dzień jest prześliczny, prawdziwie letni. Przez otwarte drzwi balkonowe wpływa do pokoju wonne powietrze przesycone zapachem sosen i róż pnących się po ścianach budynku. Wychodzę na balkon, podziwiając wielkie korty tenisowe i boisko do gry w siatkówkę. Po drugiej stronie domu widać baseny kąpielowe i solarium. Z naszego balkonu jest bajkowy widok na przełom Dunaju, wijącego się w tym miejscu pomiędzy wysokimi wzgórzami. Ten obraz nieco przypomina Zatokę Neapolitańską, szczególnie wieczorem kiedy światła odbijają się w wodzie. Na horyzoncie widać granicę Czech i Austrii.

Kończymy toaletę i schodzimy do jadalni. Jest godzina siódma rano. Dostajemy do jedzenia kanapki z salami i jakąś sałatkę owocową. Herbaty nie ma, jest za to kawa podana w mikroskopijnych filiżaneczkach. Przy pani pilotce siedzi tłuściutki mężczyzna po trzydziestce. Po nieco kumańskich rysach poznaję, że to Węgier. Rzeczywiście, to nasz węgierski przewodnik. Zabawnie mówi po polsku i najwyraźniej jest obiektem zainteresowania pani pilotki, która robi do niego słodkie oczy. Wsiadamy do autokaru i jedziemy do Esztergom. Okolica jest przepiękna, otwierając przed nami coraz to nowe widoki, gdy zjeżdżamy serpentynami. Nad nami wznoszą się groźnie dolomitowe skały w kształcie organów, pod nami wielka panorama całej okolicy. Dunaj skręca tutaj pod kątem ostrym i płynie pomiędzy pokrytymi lasem wzgórzami. W falach rzeki odbijają się domy, białe obłoki i drzewa. Wzdłuż brzegów wspaniałe bulwary, mieniące się różnokolorowymi rabatami z kwiatów. Wszystko tu obliczone jest na turystę, aby zachęcić go do ponownego przyjazdu. Nic dziwnego, że corocznie na Węgry przybywają miliony turystów, witanych z radością przez mieszkańców. Ponieważ interesuje mnie góra zamkowa, na której znajduje się hotel "Silvanus", pytam pilotkę kiedy ją zwiedzimy?

- Tam nie ma nic ciekawego. - odpowiada. - Jeżeli ktoś chce, może ją zwiedzić we własnym zakresie.

Milknę i zastanawiam się, kto zrobił tę kobietę pilotem. Podobno posiada tytuł magistra historii. Zdaje się, że historii ruchu robotniczego i walki klasowej, bo jak dotąd okazuje kompletną ignorancję w tym przedmiocie. Nie wiedziała nawet, że Bratysława była rzymskim obozem. Inni wycieczkowicze również nie interesują się zabytkami i wygląda na to, że zdana będę tylko na siebie. Przed nami Esztergom. Już z daleka dostrzegamy kolosalną kopułę bazyliki z XIX wieku. Świątynia jest niemal wierną kopią bazyliki Piotra i Pawła w Rzymie i drugim co do wielkości kościołem na świecie. Zbudowana została przez Włochów i Flamandów, którzy tutaj osiedli. Jedziemy uliczkami starego miasta, z warownym zamkiem stojącym na górze. Średniowieczne uliczki przypominają mi nieco Kraków tyle, że tutaj domy są troskliwie restaurowane. Sama bazylika stoi na wysokim wzgórzu, a z jej tarasów roztacza się piękny widok na Dunaj i miasto.

Podziwiam tę ogromną budowlę i myślę z najwyższym uznaniem o małym narodzie, tylekroć podbijanym, który potrafił wznosić monumentalne budowle, na jakie bogata Rzeczpospolita Obojga Narodów, nie umiała się zdobyć. Bowiem na Węgrzech większość budynków użyteczności publicznej jest monumentalna – godna Paryża lub Rzymu. A przecież historia wcale dla Węgrów nie była łaskawa i w każdym pokoleniu sprawiała im solidne baty rękami Turków, Austriaków, a dawniej Tatarów, Hunów i diabli wiedzą kogo jeszcze.

Bazylika jest imponująca, sama kopuła ma 100 m. wysokości i 33,5 m. średnicy. Stoi na miejscu najstarszego kościoła na Węgrzech, gdzie koronował się święty Stefan, ponieważ Esztergom jest węgierskim Gniezmem i Wawelem, miejscem koronacji królów, a jednocześnie siedzibą głowy kościoła węgierskiego. Wchodzimy do wnętrza świątyni i natychmiast czujemy się przytłoczeni jej ogromem. Ściany wyłożone są czerwonym marmurem, cały kościół zdaje się gorzeć. Zadzieram głowę, by obejrzeć sklepienie i nagle doznaję zawrotu od tej wysokości, jaką mam nad sobą. Muszę oprzeć się o kolumnę, aby obejrzeć wnętrze kopuły. Na środku kościoła

wielki ołtarz z największym na świecie obrazem ołtarzowym. Jest tu także przepiękna kaplica renesansowa z wyrzeźbionym w drzewie Grobem Pańskim z Garamszentbenedek, pochodzącym z XV wieku. W skarbcu bazyliki są zbiory naczyń sakralnych i relikwiarz z ręką świętego Stefana. (Isztwana). Niestety, kaplica jest zamknięta dla zwiedzających.

Mogę sobie pogratulować, że przed wyjazdem na Węgry wbiłam sobie do głowy wiadomości z historii tego kraju, który był ojczyzną moich przodków po mieczu. Teraz wiem, co mam zwiedzać, bo nasza pani pilotka nie przejmuje się takimi drobiazgami, jak objaśnianie dziejów wspaniałych zabytków. A zresztą, kogo to obchodzi? Dzisiaj jest niedziela i w bazylice odprawia się Msza święta. Na odgłos dzwonka z bocznej nawy wysuwa się pochód duchownych, w bogatych liturgicznych szatach. Aż w oczach się mieni od tych haftów w kolorach purpury, fioletu i złota. Rząd prałatów i arcybiskup, zasiadają we wspaniałe rzeźbionych stallach. Od 1956 roku, Węgry nie mają prymasa. W czasie rewolucji węgierskiej w 1956 r., prymas Nagy schronił się w ambasadzie amerykańskiej i już nie pozwolono mu sprawować urzędu. Przed głównym ołtarzem, ksiądz celebrytuje Mszę w asyście kleryków.

Naturalnie zostajemy na nabożeństwie, a niektórzy przystępują nawet do Komunii. Oprócz nas, w kościele znajduje się tylko kilka osób, przeważnie stare kobiety w czerni. W Polsce kościoły są w niedzielę zatłoczone, więc dziwimy się, że tu tak pusto. Pilot węgierski tłumaczy, że dziś jest niedziela pracująca, a Węgrzy nie są tak religijni jak Polacy i przedkładają dobra doczesne nad te, obiecane w niebie. Pilotka zaśmiewa się z "dowcipu", lecz większość wycieczkowiczów jest tym zgorszona.

Dziwny jest widok tego ogromnego kościoła, w którym więcej jest kapłanów niż wiernych. Sędziwy arcybiskup, wniesiony do świątyni na rękach kleryków, zainteresował się nami. Przysłał młodego księdza z zapytaniem, z jakiego jesteśmy kraju? Kiedy posłyszał, że z Polski, pobłogosławił nam z dala trzęsącą się dłonią. Potężne dźwięki organów wstrząsają murami świątyni. Msza się kończy. Dziwne jest to nabożeństwo. Jest nam tak przykro, że niektórzy mają łzy w oczach. Wychodzimy na olbrzymi taras otaczający bazylikę. Nasza pilotka i węgierski przewodnik dawno wyszli i teraz żartują sobie z "pobożnych."

Jestem na nich cholernie zła, bo nie lubię jak ktoś stroi sobie żarty z cudzej wiary – obojętnie, katolickiej, żydowskiej, mahometańskiej, czy buddyjskiej. Włączam się do rozmowy i pytam Węgra, czy wie, kto wprowadził wiarę chrześcijańską do jego kraju?

- Król Stefan. - odpowiada Szandor. Tak ma na imię nasz przewodnik.

Jestem urażona głupimi dowcipami pod naszym adresem i postanawiam dać mu nauczkę, pakując przy sposobności szpilę w pupę zalotnej pani pilotce. Zwracam się do niej, prosząc o kilka słów na ten temat.

- Ależ naturalnie, że święty Stefan, pierwszy król węgierski. - poucza nas tonem surowego belfra.

- Niestety nie! - stwierdzam. - Chrześcijaństwo wprowadziła na Węgry Adelajda, siostra księcia Mieszka I. Była ona żoną księcia Gejzy i matką Stefana, rywalizującego ze swoim wujem, a naszym Bolesławem Chrobrym, o koronę. Stefan miał więcej szczęścia i mniej wrogów, więc korona dostała się jemu pierwszemu. Jak pan widzi, - zwracam się do Szandora – to Polsce zawdzięczacie wejście do krajów kultury zachodniej. Zastanawiam się, co by się działo, gdyby tak król polski Jan III Sobieski, wolał odpoczywać przy swojej Marysińce i sadzić dęby w Jaworowie, nie przejmując się prośbami nuncjusza papieskiego, o ratunek dla zagrożonego chrześcijaństwa, i oblężonego Wiednia. Nie byłoby bitwy pod Parkanami, wyzwolenia Budapesztu, i Węgry pożarłaby Turcja. Za sobą słyszę chichoty wycieczkowiczów i sama mam ochotę parsknąć śmiechem, widząc miny Szandora i pani pilotki. Coś mi się zdaje, że tego mi nie wybaczą i będę miała wrogów do końca wycieczki. A jechał ich sek!

- Skąd pani zna tak dobrze naszą historię? - pyta Szandor, nie kryjąc niezadowolenia.
- Zawsze należy znać kraj, skąd pochodzili nasi przodkowie. - tym razem nie kryje rozbawienia.

Nikomiu nie wspominałam, że moje korzenie po mieczu, sięgają Węgier. W czasach wojen napoleońskich, mój praprapradziad naraził się władzom austriackim i musiał uciekać z bratem z ojczyzny. Brat pozostał w Czechach, gdzie do dziś żyją jego potomkowie, (m. in. czeski pisarz Josef Erban) Prapradziad znalazł drugą ojczyznę w Polsce i pozostał jej wierny do śmierci, on i jego potomkowie.

Po szerokich schodach zbiegam na Starówkę. Pełno tu sklepików z pamiątkami i słodyczami. W głębokich piwnicach mieszczą się winiarnie i kafejki, a przy murze bazyliki znajdują kantor wymiany walut i nareszcie mogę wymienić czeki na forinty. Dokoła kantoru mnóstwo turystów. Prócz nas, Polaków, są Czesi, Niemcy, Włosi, Amerykanie, Anglicy, Japończycy, Grecy, nawet Australijczycy przytaskali się z antypodów.

Nic dziwnego – Węgrzy postawili na turystykę i wygrali. W samym tylko roku 1979 na 10 milionów mieszkańców, przyjechało około 15 milionów turystów, a co najdziwniejsze, wszyscy są uprzejmie obsłużeni, mają do dyspozycji hotele i pensjonaty o różnym standardzie, a do kasy państwa wpływa potok mocnej waluty.

Pani pilotka proponuje nam zrobienie zakupów w pobliskim ABC. Jest to sieć ogromnych sklepów, gdzie można nabyć absolutnie wszystko, od bułki do auta. Wchodzimy do kilkupiętrowego budynku i nagle doznajemy szoku. Wszyscy, bez wyjątku, wpadamy w obłądny szal zakupów. Od naszych pustych półek sklepowych, do nagromadzonego tutaj bogactwa towarów, skok jest zbyt nagły i nasze stargane nerwy odmawiają nam posłuszeństwa. Wchodzimy z Marysią i panią Marylą do działu spożywczego. Chryste! – robimy wielkie oczy, a ślinka napływa nam do ust na widok smakowitych rarytasów rozłożonych na ladach i w gablotach.

Piramidy artystycznie ułożonych owoców: pomarańcz, cytryn, ananasów, mango, niektórych owoców nawet wcale nie znamy. W eleganckich piecykach pieką się jadalne kasztany, pełno różnych orzechów w kolorowych opakowaniach. W powietrzu unosi się zapach świeżo zmielonej kawy, czekolady, oraz wanilii. Jakie apetyczne ciasta i torty oblewane czekoladą i ułożone na eleganckich paterach. Węgrzy słyną ze znakomitych wypieków, a ich ciasta to niebo w gębie. Na innym stoisku galanteria czekoladowa. Bloki czekolady twardej, do tarcia, wielkie bombonierki ozdobione jedwabnymi kokardami, najróżniejsze gatunki pomadek, u nas już od dawna nie widzianych. Tak, jakby w Polsce nie było Wedla, czy Goplany i mnóstwa większych i mniejszych zakładów cukierniczych.

Marysia dostała "chcicy" i kupuje na migi pół kilo wiśni w czekoladzie. Pani Maryla chwyciła opakowanie orzeszków również w czekoladzie i ma taką minę, jakby obawiała się, że zaraz ekspedientka zażąda od niej kartek żywnościowych. Ja na razie nic nie kupuję. Mam mało pieniędzy, nie wiem czy coś sprzedam i muszę rozsądnie wydawać forinty, tylko na najpotrzebniejsze sprawunki. Naraz moje dziewczęta podnoszą krzyk i ciągną mnie za rękaw do stoiska masarskiego. Oczy wychodzą nam na wierzch na widok wiszących na hakach całych tusz wieprzowych, cielęcych, wołowych i baraniny. Oblizujemy się, czując zapach dobrze uwędzonych wędlin: grubych salami, cieniutkich kabanosów w oryginalnym flaczku, szynki, baleronów, pasztetów i kielbas. A wszystko to pachnące, świeże, aż chce się jeść. Osobno podroby, z których oszczędne panie węgierskie przyrządzają pikantne potrawy.

Koleżanki są zdumione, nigdy nie widziały tak zaopatrzonych sklepów. Ale ja pamiętam z lat dziecińczych prywatne masarnie w Bolesławcu. W 1945 r. byliśmy z Mamą w Poznaniu i tam widziałam wielki prywatny sklep delikatesowy, gdzie nasza rodzina zaopatrywała się w gatunkowe trunki i inne specjały, na wesele cioci Musi. W samym Bolesławcu było w 1947 roku sześć prywatnych sklepów rzeźniczych ze znakomitymi wyrobami masarskimi. Ekspedientki kroją

wędliny maszynami błyszczącymi niklem. Dziwimy się, że Węgierki biorą tak mało, po kilka deko wędlin, ale tutaj nikomu nie oplaca się brać więcej, ponieważ zaopatrzenie jest dobre. Poza tym, Węgrzy są oszczędni i wbrew pozorom, nie wiedzie im się za dobrze.

Chodzimy z działu do działu, oszołomieni tą obfitością towarów. Oglądamy półki pełne puszek wytwornych przysmaków: kawioru, oliwek, sardynek i innych łakoci – mój Boże, czego tu nie ma? Na stoisku rybnym, w ogromnych wannach pluskają ryby, rzeczne i morskie. Mnóstwo różnych filetów, a ile gatunków śledzi!... Zdumiewające, bo przecież Węgry nie mają morza. Chodzę z piętra na piętro, oglądając dywany, futra, kosmetyki, najlepszych zagranicznych firm (są i polskie), nie wiem co kupić i w końcu decyduję się na paczkę kawy, orzeszki w czekoladzie i paczkę papierosów Vega. Przy kasie natrafiam na dużą kolejkę, bo akurat wycieczka z Niemiec Zachodnich robiła zakupy. O, tak to ja rozumiem! Wynoszą całe paki towarów, pewni siebie, roześmiani i zasobni, wsiadają do swoich luksusowych autokarów, obładowani do granic możliwości. Przegrali wojnę, wygrali dobrobyt.

Jakoś nie widzę naszych, chyba zostałam w sklepie sama. Oj, niedobrze. Płacę i wyskakuję ze sklepu jak oparzona. W naszym autobusiku siedzą już wszyscy, oprócz mnie. Na stopniach wozu stoi pilotka z miną Marii Krwawej. Rozwiera na mnie jadaczkę, niczym ekonom na głupawego parobka. Dostaje mi się za to, że wszyscy na mnie czekają, że jestem niezdyscyplinowana itp. Następnym razem – zapowiada pani pilotka – nikt na mnie czekać nie będzie. Zostawią mnie i już!

Strasznie się tego boję! Tylko czekam na okazję, aby oderwać się od naszego towarzystwa i zwiedzić okolicę na własną rękę. Jednak wiem, że się spóźniłam i uprzejmie przepraszam, grzecznie obiecując poprawę. Pilotka z obrażoną miną siada koło kierowcy i upomina go, aby się pośpieszył, bo przez niektóre osoby nie zdążymy na obiad. Oczywiście, aluzję zrozumiałam, ale wolę się nie odzywać i siedzę cicho jak mysz pod miotłą. Wiem, że pilotka mści się na mnie za króla Stefana i swoją kompromitację przed Szandorem.

Pogoda psuje się nagle, wieje zimny wiatr niosąc krople deszczu. W pobliżu Visegrádu, na zakręcie szosy, z bocznej drogi wypada jak pocisk wojskowa ciężarówka, prowadzona przez sowieckiego żołnierza i wali prosto na nas. Tylko opanowaniu i błyskawicznemu refleksowi naszego kierowcy zawdzięczamy, że nie runęliśmy z bulwaru na dno Dunaju. Kierowca klnie jak szewc i wygraża pięścią Rosjaninowi, a tamten w odpowiedzi, przesyła nam wymowny znak: zgietą w łokciu rękę. Jest kompletnie pijany i zupełnie bezkarny. W Czechach i na Węgrzech nie widać tak często żołnierzy radzieckich, jak w Polsce, ale mimo to są w każdym większym mieście.

Na obiad dostajemy jakąś cienką zupkę i znowu ryż z sosem i kawałkiem mięsa wołowego. Właściwie kiedy poznamy prawdziwą kuchnię węgierską, o której tak wiele się nasłuchałam? Znowu siadamy do autokaru i jedziemy do Budapesztu. Po drodze spotykamy wspaniałe zaprzęgi konne, eskortowane przez jeźdźców na ognistych wierzchowcach. To zblazowani turyści z Zachodu. Mieszkają w pobliskim gospodarstwie hodowlanym i płacą dewizami za malowniczy prymityw. Powinniśmy się cieszyć – w kraju żyjemy obecnie w skrajnie prymitywnych warunkach i nie musimy za to płacić dewizami. Ale nam dobrze!

Przez secesyjny Lánchid (Most łańcuchowy) i tunel, jedziemy na Górę Zamkową. Samego Zamku nie zwiedzamy, bo nie ma czasu – tak zadecydowała pilotka. Potem jadowym tonem dodaje, że przez niektóre spóźniające się osoby, czas przeznaczony na zwiedzanie jest krótszy. Tego już przemilczeć nie mogę i zwracam jej uwagę, iż spóźniłam się jedynie o pięć minut. Niestety, moje tłumaczenie nie trafia jej do przekonania. Nadal okazuje mi swoje humory. Wredna małpa, ale jeszcze jej utrę nosa!

W galopie przebiegamy Starówkę, mijając potężne mury Podzámca oraz sam Zamek, kolosalną budowlę secesyjną z wielką kopułą. Zamek zbudowany został przez cesarza

austriackiego w XIX wieku, na fundamentach pałacu królów węgierskich. Po wąskich uliczkach mkną białe mikrobusy obwożące zagranicznych turystów. Wpadamy jak po ogień do katedry pod wezwaniem św. Macieja, najpiękniejszego zabytku z epoki gotyku. Mury świątyni mają ciepłą, jasną barwę, cudownie spatynowaną przez powietrze, słońce i deszcze, pracujące zgodnie nad ich urodą. Kościół jest rzeczywiście wspaniały, oko błądzi po niezliczonych kolorowych majolikach, jakimi włożone są ściany katedry. Wieża kościoła lekka i koronkowa, przypomina żywo gotyckie tury we Francji i w Niemczech. Świątynia jest tak ogromna, że wydaje się kamiennym lasem, a kolumny pniami gigantycznych drzew. Nastrój powagi i tajemniczości potęguje jeszcze mrok zalegający wewnątrz. Ściany w kolorze czerwono-złotym stwarzają wrażenie wschodniego przepychu. Nic dziwnego, bo przez długi czas katedra była tureckim meczetem, jak niemal wszystkie kościoły węgierskie. Stąd to upodobanie do purpurowego koloru i złotych arabesk. Uwielbiam zwiedzanie starych kościołów i pragnęłabym obejrzeć dokładnie całą katedrę, ale pilotka już nas pogania, bo w programie mamy jeszcze wizytę w muzeum katedralnym.

Znowu pędzimy jakby się paliło, – mam tego dosyć, w ten sposób niczego dobrze nie obejrzę. Jesteśmy tutaj dopiero pierwszy dzień, więc po co ten pośpiech? Przed nami jeszcze cztery dni. Nic nie rozumiem. Jaka szkoda, że nie mam przy sobie przewodnika po Budapeszcie, tak bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś o tych przepięknych zabytkach. Zwracam się do Szandora i proszę o wyjaśnienie jakiegoś szczegółu. Wtedy okazuje się, że nasz przewodnik nie ma żadnych kwalifikacji, z zawodu jest ekonomistą w jakimś biurze projektów i korzystając z urlopu, zaangażował się w charakterze przewodnika, bo zna miasto, będąc rodowitym mieszkańcem Budapesztu. Natomiast z historią miasta u niego krucho. Żartuje, że zaprowadzi mnie do ojca, który ma winiarnię w piwnicy Starówki i poczęstuje mnie winkiem, a potem już niczego więcej nie zechcę zwiedzać. Wyjaśniam z uśmiechem, że muszę zrezygnować z zaproszenia, bo tykam antybiotyki i na alkohol mogę jedynie popatrzeć.

Pilotka przerywa nam rozmowę i woła Szandora do siebie. Chyba jest zazdrosna. "Nie bój się. – myślę, - Szandor sięga mi do ramienia, a ja nie lubię kurdupli i nie w głowie mi romanse!" W muzeum katedralnym, które zwiedzamy w tempie strażaków biegnących do pożaru, urzeka mnie przepiękna głowa Chrystusa wyrzeźbiona w alabastrze. Dzięki ciekawemu oświetleniu, Jezus w cierniowej koronie zdaje się żyć, bo alabaster jest różowawy, jak ciało człowieka. Jego oczy patrzą na ludzi z jakąś wszechwiedzącą litością i miłością, jakby widziały wszystkie grzechy i nędze rodzaju ludzkiego i wszystko przebaczały. Usta zaciśnięte w bolesnym uśmiechu, zdają się szeptać słowa błogosławieństw. Długo stoję zadumana, podziwiając geniusz rzeźbiarza, umiającego z martwego kamienia wydobyć wyraz takiej miłości, cichego bólu i pokory. Rzeźbę nazwałam w myślach "Ecce homo". Oto Człowiek.

Nawoływanie pilotki przywołuje mnie do porządku, muszę iść dalej, ale oglądam się z żalem za siebie. Jaka szkoda, że mam tak mało czasu. W następnej komnacie znowu wpadam w zachwyt, gdy w głębokiej niszy odkrywam naturalnej wielkości, alabastrowy posąg cesarzowej Elżbiety – pięknej Sissi, nieszczęśliwej żony cesarza Franciszka Józefa. Monarchini stoi w pozie pełnej gracji, spowita fałdami bogatej krynoliny ozdobionej koronkami i trzyma w rękach bukiet róż. Wspaniałe włosy ma uczesane we francuskie loki, spięte diademem z pereł. Prześliczna twarz o klasycznych rysach bogini jest lekko uśmiechnięta i spogląda na widza zalotnie. Bogate ozdoby sukni, biżuterię i koronki, wyrzeźbiono z taką precyzją, iż widzi się miękkość tkaniny i kruchość kwiatów. Znowu to świetne oświetlenie sprawia, iż odnosi się wrażenie, że za moment cesarzowa zejdzie z piedestału, lub wyciągnie rękę ozdobioną bransoletą z pereł. Jestem oczarowana pięknnością Elżbiety, wprowadzie widziałam jej portrety, ale dopiero tutaj jaśniej cała jej uroda. Podobieństwo jest uderzające. Węgry kochali Elżbietę, a ona odwzajemniała tę miłość. Podobno była zakochana w przystojnym węgierskim arystokracie. "Widzisz – użalam się nad cesarzową, – byłaś taka piękna, a jednak cała potęga imperium nie potrafiła ustrzec ciebie od ciosu tępych

pilnikiem obłakanego nihilisty⁴" Z przyjemnością zostałabym tutaj dłużej, lecz już musimy wychodzić. Pilotka powiada, że na Parlament i Górę Gellerta przyjdzie kolej jutro lub pojutrze. Dziś zwiedzimy jeszcze tylko Basztę Rybacką.

Idziemy więc na ogromny plac, gdzie stoi posąg króla Stefana, podobny nieco do pomnika naszego Władysława Jagiełły w Krakowie. Na wprost posagu jest wieża, może raczej cały ciąg starożytnych murów, zbudowanych jednak już w XIX wieku. Zagraniczni turyści stają w zachwycie przed tą budowlą w stylu? No tak, konia z rzędem temu, kto określi, jaki to styl. Wieże gotyckie, łuki romańskie, baszty mauretańskie, kolumny greckie, tympanony rzymskie, a w środku tego bigosu, kawiarnie paryskie, bary amerykańskie i kosmiczne ceny! Budowla jest raczej pretensjonalna, coś pomiędzy Neuschwanstein, zamku króla Ludwika Bawarskiego, a Disneylandem. Ale wszystko razem tak sprytnie wkomponowane w prawdziwie średniowieczną zabudowę Starówki, że patrzy się na to cudo z przyjemnością. Obok Baszty supernowoczesny wieżowiec – luksusowy hotel Hilton, czyli szklany dom, bowiem cały wyłożony jest szklanymi taflami o barwie bursztynu. W szkłe odbijają się koronkowe blanki Baszty Rybackiej i majoliki katedry. Jest to najdroższy hotel na Węgrzech, gdzie nocleg kosztuje 2000 forintów. (50 dolarów).

Dla zagranicznych turystów to pestka, ale dla nas..... W hotelu znajduje się kasyno gry, gdzie zasobni turyści z Zachodu pozostawiają zawartość swoich portfeli. Z tarasów Baszty roztacza się wspaniały widok na Starą Budę i Dunaj, a z boku pną się w górę ogromne gmachy Zamku, będącego kopią wiedeńskiego Hofburgu. W zabytkowych wnętrzach Starówki znajdują się siedziby Akt Dawnych, uniwersytet, muzea, winiarnie i Varmuzeum. (muzeum zamkowe). Boże, tyle cudownych zabytków, a my ciągle wszystko oglądamy w galopie. Na Baszcie kolega z pracy robi mi zdjęcia, ale wątpię czy dobrze wyjdą, bo pogoda pochmurna i coraz więcej pada. Chronimy się w autokarze i wracamy do Visegrádu. Zaraz po przyjeździe biorę gorący prysznic, bo czuję dreszcze. Schodzimy na kolację. W sali jadalnej gra zespół instrumentów dawnych, a kelnerzy i kelnerki mają na sobie stroje z XV wieku. Bardzo efektownie to wygląda. Kierownik sali zaprasza na wieczorny dansing do sali balowej. Chyba obchodzą jakieś historyczne święto, ale nikt nie potrafi mi wyjaśnić o co chodzi.

Nie, to naprawdę przestaje być zabawne! Znowu ryż - tym razem zapiekany z jarzynami. Ktoś tu dostał ryżo manii. Do picia woda mineralna i soki owocowe. A może tu mają kuchnię chińską? - zastanawia się Marysia, dłużej widelcem w tej papce. Rozglądamy się po sali, istna wieża Babel, przy każdym stoliku rozlega się inny język. Przeważnie Szwedzi, Niemcy z RFN, ale są i Japończycy, Hiszpanie a nawet Włosi. Niestety, chińszczyzna tylko dla nas, Polaków. Obserwujemy, jak kelnerzy roznoszą do innych stolików miedziane kociołki zawieszane na stojaczkach, w kociołkach słynna "bogracsgulyás", czyli zupa gulaszowa. Inni goście rozkoszują się "lukullusz palacsinta". Są to cieniutkie naleśniki nadziewane migdałami, orzechami i rodzynkami, polane czekoladą i skropione spirytusem. Podaje się je płonące, na okrągłych tacach. Boskie jedzenie, ale nie dla nas biedaków.

W błyszczących kubłach z lodem całe baterie trunków. Wina węgierskie są znakomite, widzimy nalepki z nazwami "Tokay", "Egri bikaver"(bycza krew). Ja nie mogę pić alkoholu, ale naszych panów zalewa zła krew. Pilotka gdzieś się ulotniła razem z Szandorem, a nasze dziewczyny dowcipkują, że zwiedza piwniczkę jego tatusia, i pokaże się jutro w stanie żałosnej degrengolady.

Przy sąsiednim stoliku siedzi samotny pan po pięćdziesiątce, o siwych wypielegnowanych włosach. Z towarzystwem przy stoliku zamienia tylko kilka słów i zaraz po posiłku odchodzi do swego pokoju. Zwróciłam na niego uwagę, bo mężczyzna przypatruje mi się badawczo. Początkowo sądziłam, że to jakiś znajomy, lecz nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek go

4 Elżbieta Wittelsbach(1837-1898) cesarzowa Austro-Węgier. Zamordowana 10.IX.1898, przez włoskiego anarchistę Luigi Luccheni.

widziała. Zresztą to najwidoczniej obcokrajowiec, może Niemiec lub Szwed. Nie mam pojęcia dlaczego ten człowiek gapi się na mnie i udaje, że tego nie widzę. Ale Marysia i Maryla śmieją się, że poderwałam nadzianego faceta. Niech im będzie! Wracamy do pokoju. Moje koleżanki chcą iść na zabawę i namawiają mnie na tańce. O, nic z tego! Wolę usiąść przy biurczku i na gorąco spisywać wrażenia dnia. Zresztą nadal czuję dreszcze i jeżeli nie napiję się gorącej herbaty, złapię grypę. Mam wprawdzie grzałkę, przezornie zabraną z domu, ale po tych zażywanych lekarstwach, czuję niesmak i nie mam wcale apetytu. Koleżanki poszły na zabawę, a mnie się nic nie chce robić. Dzwonię po pokojówkę i pytam, czy mogę do numeru dostać herbatę? Rozmawiamy kulawą niemieczyzną, bo młoda Węgierka nie rozumie po polsku.

- Ależ tak, oczywiście. - pokojówka wychodzi i po chwili przynosi mi na tacy szklanekę aromatycznej herbaty z cytryną. Wypijam ją duszkiem, parząc sobie usta. Płacę pokojówce parę groszy i widzę, że dziewczyna przypatruje się mojemu peniuarowi, który mam na sobie. Rzeczywiście, jest bardzo ładny, seledynowy z kremowymi koronkami, lekki i powiewny.

- Ach, jaki śliczny szlafroczek! - mówi pokojówka. - U nas takie rzeczy są bardzo drogie. A w Polsce też taka drożyzna?

Zgodnie z prawdą mówię, że jeszcze jest tanio. Za peniuar zapłaciłam tylko 2600 zł.

- Gdyby pani chciała ten szlafroczek sprzedać, dostanie pani co najmniej sto pięćdziesiąt forintów. Może nawet więcej.

Zaciekawiona pytam, gdzie w ogóle można tu coś sprzedać? Pokojówka wyjaśnia, że najlepiej to zrobić na bazarze koło placu Moskwy, wszyscy turyści tam coś sprzedają. Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, a kiedy pokojówka wychodzi, siadam i piszę aż do powrotu koleżanek, raczej skwaszonych, bo potańcówka była nieudana.

Następny ranek jest znowu słoneczny, ciepłe promienie złocą czuby wiekowych drzew i zaglądają w nasze okna. Wychodzimy na balkon i podziwiamy wspaniały widok przełomu Dunaju. Jest godzina siódma. Gorący prysznic, fryzury i makijaż. Narzucamy na siebie kieciki i zbiegamy na śniadanie do sali jadalnej. Sensacja! – na stole dzbanki z gorącą herbatą i kanapki z pastą rybną cholernie "cujną", jak mówią górale. Najpóźniej przychodzi pilotka, wesolutka jak skowronek, a za nią Szandor z miną męczennika. Marysia trąca mnie łokciem w bok :

- Teraz już widzisz do czego był jej potrzebny osobny pokój! - szepcze mi do ucha.

Oj, widzę, widzę, ale coś mi się wydaje, że z tej maki chleba nie będzie, bo Węgier ma rzewną minę. Dzisiaj jedziemy na cały dzień do Budapesztu i tam zjemy obiad oraz kolację. Po śniadaniu zbieramy się w hallu, a pilotka pyta z figlarną miną, co chcemy zwiedzać? Odpowiada jej ogólny okrzyk : - Bazar Moskwa!! Aha, okazuje się, że nie tylko ja jestem dobrze poinformowana, gdzie można coś sprzedać. Wszyscy biegną do swoich pokoi i wracają obładowani jak dromadery pękatymi tobołkami. Pomna rady pokojówki, wkładam do torby podróżnej mój nowy peniuar, ładny sweterek i zakopiański żakiecik. Kupić nie kupić, potargować zawsze można.

Wjeżdżamy do Budapesztu przez Margit hid, a może przez Erzsébet hid, ciągle mi się te mosty mylą. Kierowca wysadza nas przy Keleti Palyaudvar (Dworzec Wschodni). Stąd musimy jechać metrem do bazaru. Mam pecha, do metra nie kupuje się biletu, lecz wrzuca do automatu drobną monetę i stalowe łapy otwierają się, wpuszczając na ruchome schody. Mnie akurat zabrakło tej pierońskiej monety i zanim rozmieniłam banknot, rodacy już zjechali do stacji podziemnej. Biegnę za nimi, potykam się i o mały figiel nie spadam z ruchomych schodów. W ostatniej chwili ratuje mnie jakaś pani, chwytając za ramię i przytrzymując. Dziękuję jej uśmiechem i wpadam na peron. Moi towarzysze już wsiadają do wagonów. Wskakuję za nimi, drzwi zatrząskują się i ruszamy. Pociąg mknie jak błyskawica w oświetlonym tunelu, a my głośno liczymy przystanki. Na piątym wysiadamy. Uff – nie lubię metra, bo w podziemiu zaraz mam duszności. To chyba klaustrofobia, bo nigdy nie cierpiałam na lęk wysokości, włączając z Ojcem na Giewont i skacząc nad

przepaściami. Są między nami osoby, które znają Budapeszt i to one obejmują kierownictwo, bo nasza pani pilotka znowu dała nogę z Szandorem, a kierowca też poszedł swoją drogą. Jesteśmy zdani tylko na siebie w obcym mieście.

Wchodzimy na wielki plac ogrodzony wysokim murem. To jest właśnie osławiony Bazar Moskwa. Rany boskie – toż to perski rynek! Brakuje tylko karawany wielbłądów, meczetu i śpiewu muezina. Za to osłów nie brakuje, wprawdzie dwunożnych, ale jednak osłów. Ja do nich również należę. Wokół nas tłumy ludzi, tych sprzedających i tych, co zamierzają coś kupić. Długie lady ustawione wzdłuż placu, zavalone są towarami. Nie wiadomo na co patrzeć. Stosy papryki, piramidy pomidorów, winogrona, melony, najróżniejsze owoce, krajowe i zagraniczne. Są stoiska z warzywami, pieczywem, nabiałem. Podziwiam wspaniale zaopatrzone stoiska rzeźnicze – wszystko estetycznie ułożone i czyste. Wzdycham, wspominając nasze puste sklepy. Szkoda gadać, albo nie potrafimy się rządzić, albo po prostu nie dano nam szansy, żebyśmy mogli wykazać się swoimi zdolnościami. Nasi wycieczkowicze gdzieś się rozeszli, a ja chodzę sama między stoiskami przypatrując się towarom. Panie budapeszteńskie targują się jak przekupki, przerzucając owoce lub warzywa i zawsze coś taniej kupują. Pod murem ustawiono białe budki z gorącymi parówkami, gulyasem, czy popularną zupą fasolową. Kumani⁵, (Połowcy) przynieśli na targ wyroby ludowe. Od fantastycznych wzorów i barw aż ćmi się w oczach. Są tam drewniane talerze bajecznie malowane, obrusy, koronki, ceramika, a wreszcie słynne bogracze – kociołki pasterskie, w których podaje się tutaj zupę gulaszową. Sprzedają także wędliny własnego wyrobu, odznaczające się dużym przydymieniem i ostrością smaku. Bazar ściąga wielu turystów szukających regionalnych pamiątek, gdyż ceny są tu o wiele niższe i można się potargować.

W tym różnorodnym tłumie często słyszę język polski. Przechodzę właśnie w pobliżu lady przy której stoi elegancka pani. Modna fryzura, staranny makijaż, sylwetka jak z żurnala mody. Przed nią leży otwarta walizka pełna kosmetyków, pasmanterii, kolorowej włóczki i stylonowych koronek. Dłonią pełną złotych pierścionków podsuwa swój towar mijającym ją obojętnie Węgierkom. Przyglądam się kosmetykom – polskie. Perfumy "Pani Walewska", krem Nivea, całe zestawy z Polleny i Lechii – jak ona to przewiozła? Staję przy stoisku i zaglądam do walizki. Pani natychmiast przybiera uprzejmą minę i patrzy na mnie z nadzieją.

- Może pani kupi, tessek. (proszę) – brylant na jej palcu miota w słońcu olśniewające błyski. Udaję, że nie rozumiem o co jej chodzi i zmuszam ją do łamańców językowych, bowiem dama prócz pojedynczych słów nie mówi żadnym obcym językiem. W końcu mam dosyć tej zabawy i pytam z głupia frant po polsku:

- A ile pani chce za ten krem Nivea? - w damę jakby piorun strzelił. Czerwienieje jak indor i mierzy mnie rozwścieczonym wzrokiem.

- No wie pani? - syczy. – Ten towar jest tylko dla Węgrów. Pani może sobie kupić krem w kraju.

- Właśnie, że nie mogę, dzięki takim handlarom jak pani! - odpowiadam i odchodzę, słysząc za plecami jazgot rodaczki.

Parę kroków dalej ponownie spotykam Polaków. Dwóch mężczyzn sprzedaje płaszcze ortalionowe. Ci mają większe powodzenie, bo przystanęło koło nich kilka osób i targują się o cenę. Jestem przekonana, że kupią płaszcze za pół darmo. Jestem uczulona na rodaków i wyszukuję ich w tłumie. Ależ naród – w przeciwieństwie do sprzedających Węgrów, są nachalni i dosłownie narzucają się, łapiąc za poły przechodzących ludzi i wtykając im swoje towary. Pomiędzy stoiskami, w ciemnych kątach, stoją jacyś osobnicy z tajemniczymi minami, nie wychylając się z cienia. Widocznie biorą mnie za cudzoziemkę, bo proponują mi po niemiecku kupno dolarów.

5 Lud rasy mongolskiej, przybyły w XI w. z Azji do Europy. Częściowo osiedlili się na Węgrzech i w Bułgarii, gdzie ulegli asymilacji.

Naturalnie – także Polacy! Ponieważ piszę ten pamiętnik bez obłudy, więc przyznaję, że przez cały czas toczę z sobą walkę pomiędzy chęcią sprzedania czegoś, a wstydem.

Tak bym chciała przywieźć coś do domu, ale 750 forintów to około 1000 złotych polskich. Co za to można kupić? Na Węgrzech jest drożyzna, a sami Węgrzy oszczędzają każdy grosz. Zarobki tutaj są bardzo niskie, więc z konieczności niemal każdy Węgier ma po dwa etaty, pracując ciężko cały boży dzień. Na ulicach Budapesztu nie widzi się na ogół tak wystrojonych kobiet, jak w Polsce. Panie chętnie noszą używane ciuchy, ubrane są skromnie, mało umalowane, bowiem na nowe stroje z reguły ich nie stać. Zauważyłam, że jedna z naszych wycieczkowniczek ma klientkę. Moje koleżanki rozłożyły na jednej z ład swoje ubogie towary i biernie czekają, aż ktoś raczy je spostrzec. Ale jak to zwykle bywa, kiedy ktoś coś kupuje, zatrzymują się inni. U Marysi Węgierki wybierają nici, igły, jakieś paski, bieliznę i ręczniki, próbując dogadać się ze sprzedającą, bo Marysia nie włada obcym językiem. Ale od czego pomysłowość? Rozstawia palce i na nich pokazuje cenę. Dobrze to kiedy cena jest dziesiętna, przy wyższych kwotach biedne Polki oblewają się potem – jeszcze chwila, a zdejmą buty, żeby mieć więcej palców do liczenia.

- S to dwadzieścia forintów . - mówi Marysia.

Węgierka rozkłada ręce i nic nie rozumie. Marysia patrzy jej rozpaczliwie w oczy.

- No, s t o d w a d z i e ś c i a . - powtarza powoli i wyraźnie, łudząc się, że klientka wreszcie zrozumie. Oj, nie dogadają się! A nieprawda, właśnie, że się dogadają! Marysia wyciąga z torebki długopis i na kawałku papieru pisze cenę. Węgierka kręci przecząco głową – za drogo. Marysia skreśla 120 i pisze 100. Węgierka odchodzi zniesmaczona. Marysia nie rezygnuje, woła ją i pisze 50! Klientka uśmiecha się i sięga po portmonetkę. Dobiły targu.

W tej samej chwili podchodzi do mnie starsza pani i pyta o coś po węgiersku. Niestety, nie znam tego trudnego języka moich przodków. Ale siwa pani wskazuje moją torbę, widocznie chce wiedzieć, czy mam coś na sprzedaż. Przypominam sobie, że niemal każdy Węgier zna niemiecki, więc pytam, czego sobie życzy. Węgierka cieszy się, że możemy się porozumieć i wyjaśnia mi, iż interesuje ją odzież. Waham się przez moment, ale kobieta zdecydowanym ruchem otwiera mi torbę i zagląda do wnętrza. Cmoka z zadowoleniem i po chwili jestem oblężona przez panie. Mam do sprzedania tylko sweter, peniuar i ewentualnie zakopiański żakiet – gdybym dostała za niego odpowiednią cenę. Są to rzeczy nowe i naprawdę eleganckie, w przeciwieństwie do innych towarów sprzedawanych przez Polaków, wciskających tubylcom lichą tandetę.

Wybuchła kłótnia, bo trzy węgierskie panie pragną kupić peniuar i żadna nie zamierza ustąpić. Nie wtrącam się, niech same zdecydują która peniuar weźmie. Pamiętam nauki pokojówki i niżej 150 forintów ciucha nie oddam. O mało nie wybucham śmiechem, bo Węgierki zaczynają się licytować. Siwa pani, ta która pierwsza do mnie podeszła, wciska mi do ręki 250 forintów i chowa peniuar do torby. Trochę mi żal, bo kupiłam go zaledwie przed miesiącem. Inne kobiety targują sweter. Sprzedają go za 300 forintów. Ale z żakietem mam kłopot. Jest wiele chętnych, lecz cena 800 forintów wydaje się im za wysoka. O spryciary! Widziałam o wiele gorsze rzeczy za 1000, a nawet 1500 forintów. Jakaś młoda Węgierka uwzięła się na żakiet, lecz chce mi dać za niego tylko 500 forintów. Nic z tego, nie sprzedam! Jednak nie mogę się od niej odczepić, widać żakiet wpadł jej w oko. Ostatecznie zgadzam się na proponowaną cenę 900 forintów i żakiet mam z głowy.

Czuję się bogata, z takim kapitałem można iść na zakupy! Pośpiesznie odchodzę na drugi koniec bazaru, bo Węgierki chcą kupić kurtkę, którą mam na sobie. Jak dalej tak pójdzie, zostanę w samych majtkach! Mam już dosyć tych targów i pomimo udanych transakcji handlowych, czuję niesmak, jakbym popełniła jakiś czyn nieetyczny lub wielki szwindel. Naraz z głośnika nadającego wesołą muzykę, rozlega się zachrypnięty baryton :

- Figyelem – redörseg! (uwaga, milicja !) - i momentalnie wybuchła panika. Ludzie śpiesznie

zgniają swoje towary, włożą pod lady, pryskają po kątach, próbują uciekać przez bramę, ale tam już stoi milicja. Tylko Węgrzy zachowują spokój, bo im nic nie grozi. Straszne zamieszanie trwa około dwadzieścia minut. Potem z głośnika pada jakieś zdanie i wszystko wraca do normy. To było tylko polowanie na waluciarzy.

Stoję jak wryta i naraz ogarnia mnie palący wstyd i gniew. Wściekam się na rząd, który swoich obywateli zmusza do nielegalnych handelek. Wściekam się, że we własnym kraju nie mogę kupić podstawowych artykułów spożywczych i z konieczności pozbywam się własnych rzeczy, by przywieźć do domu coś do jedzenia. Wściekam się, że sklepy polskie są puste, bo zakłady produkcyjne stoją sparaliżowane strajkami, a klasa robotnicza uprawia wielką politykę zamiast wziąć się za robotę! Oblewa mnie zimny pot, gdy wyobrażam sobie, że mogłam być zatrzymana za nielegalny handel. Nigdy więcej tu nie wrócę, nie nadaję się do takich imprez. Podjąwszy stanowczą decyzję, z uczuciem ulgi wychodzę z bazaru i idę w stronę metra. Jestem zdenerwowana i pragnę być sama. Mam dobrą pamięć wzrokową i trafię na miejsce zbiórki. Wsiadam do metra, tym razem bez żadnych przygód i jadę do Dworca Keleti, gdzie czeka nasz autokar. Za mną pojedynczo i w grupach nadchodzą inni wycieczkowicze. Są uśmiechnięci i rozgadani – widocznie handelek się opłacił. Oni nie mają takich obiekcji, jak ja i postanawiają wrócić na bazar nazajutrz. Cholera, a może ja jestem nienormalna? Jeden z naszych panów nosi przy sobie przenośny sklep jubilerski. Pod marynarką pełno zegarków elektronicznych, złotych łańcuszków i pierścionków. Nie był z nami na bazarze, widocznie chodzi własnymi drogami. Wstępuję do hallu Dworca, by kupić pocztówki i znaczki. Przy samym wejściu zaczepia mnie młody mężczyzna:

- Madame, dolar, forint, frank?... - podtyka mi pod nos plik banknotów. Mam ochotę trzepnąć go w ucho.

- Odczep się pan! - reaguję niegrzecznie, po polsku.

- O, przepraszam, myślałem, że jest pani Niemką. - powiada zmieszany rodak.

- Owszem, jestem Niemką, tylko tak po polsku wyglądam! - warknęłam i poszłam do kiosku.

Wsiadając do autokaru, rzuciłam okiem w stronę Dworca. Przedsiębiorczy młodzieniec idzie właśnie pomiędzy dwoma potężnie zbudowanymi mężczyznami, w kierunku szarej limuzyny. Wcale mu nie współczuję. To jeden z tych spekulantów na wielką skalę, którzy wywożą z ubogiego kraju miliony w twardej walucie. Błyskawicznie dorabiają się wielkich majątków i budują sobie luksusowe wille z basenami, podczas gdy przeciętny Polak boryka się z trudnościami życia codziennego. Wiele naszych bogatych i niegustownych rezydencji ma swój początek na bazarze "Moskwa". Sąd węgierski policzy teraz młodzieńcowi każdy dolar, zamieniając twardą walutę na miesiace kicia.

Na ogół niewiele piszę o Budapeszcie, mimo iż cały czas zachwycam się tym przepięknym miastem. Węgrzy są ogromnie dumni ze swojej stolicy i powiadają, że Rzym ma tylko siedem wzgórz, natomiast Budapeszt ma ich aż dziesięć i właśnie to terasowate położenie nadaje miastu niepowtarzalny urok. Pomimo wielu wojen, Budapeszt zachował śliczną secesyjną zabudowę i cały tonie w zieleni wspaniałych parków, skwerów z fontannami i mnóstwem kwiatów, widocznych na każdym wolnym kawałku ziemi. Miasto ma coś z Paryża i coś z Wiednia. Kto raz zobaczył Budapeszt, zawsze zechce tu powracać. Nie ma przesady w twierdzeniu, że jest to jedna z najpiękniejszych stolic Europy. Ma przeszło dwa miliony mieszkańców – jedną piątą ogółu ludności całego kraju. Nie mogłam uwierzyć, że Budapeszt jest portem morskim! Ale to prawda. Wpływają tu statki dalekomorskie, utrzymując łączność z Morzem Śródziemnym, Zatoką Perską i Morzem Czerwonym! Siedem wspaniałych mostów łączy Budę z Pesztem. Nad miastem wznosi się Góra Gellerta, a w jej wnętrzu znajdują się słynne wspaniałe termy. Tutaj w pierwszym stuleciu naszej ery, Rzymianie założyli obóz Aquincum. Ciekawe wykopaliska można podziwiać jadąc czy idąc ulicami, między innymi fragmenty rzymskiego cyrku. Zabytki z epoki rzymskiej posiada

Muzeum Narodowe.

Niestety, pani pilotka oświadczyła, że nie mamy czasu i do muzeum nie pójdziemy. Zauważyłam, że w Budapeszcie większość budowli jest monumentalna. Bogate sklepy, szczególnie na Váci utca, ogromne place z kolumnadami, godnymi starożytnego Rzymu, niezliczona ilość kawiarni, winiarni, restauracji i hoteli oraz salonów mód ze słynnym salonem Clary Rothschild na czele. Tutaj często zamawiają toalety znane gwiazdy filmowe :Liz Taylor, Zsa-Zsa Gabor (z pochodzenia Węgierka) i Marina Vlady.

Raj dla oka i podniebienia, bo kuchnia węgierska uchodzi po kuchni francuskiej za najwykwintniejszą. A wina, to prawdziwe niebo w gębie. Widziałam w jednej winiarni w podziemiach Starówki omszałe butelki, za które trzeba zapłacić setki, a może nawet tysiące dolarów. Zwykłego zjadacza chleba z ubogiej Polski ogarnia lekki obłęd na widok wytwornych wystaw. Towary ze wszystkich części świata, a ogromne magazyny konkurują z sobą o klienta, obniżając ceny i robiąc wyprzedaże. To kapitalistyczne chwytły handlowe, o jakich nam się nie śniło. Wszystko to w kraju rządzonym przez komunistów!

Widocznie Węgrom bardziej opłaciła się rewolucja w 1956 roku, niż nam zmiana władzy w 1970 roku. Budapeszt w czasie wojen tureckich w XVII w. został doszczętnie zniszczony. Od zagłady uratował miasto król Jan III Sobieski. Na czele wojsk polskich wyparł Turków z Węgier, odnosząc wielkie zwycięstwo pod Parkanami. Dopiero cesarzowa Austrii Maria Teresa, będąca również królową Węgier, rozpoczęła planową rozbudowę miasta, burząc przy tym ocalałe z pożogi zabytki ze średniowiecza. W XIX wieku powstały ogromne budowle z okazji Wystawy Światowej. Wtedy także zbudowano metro. Zaimponowało mi przywiązanie Węgrów do własnego języka. Każdy obcy wyraz przekładają natychmiast na węgierski, nawet tak popularne nazwy, jak kino, radio i telewizja w ich języku brzmią zupełnie inaczej. Tymczasem Polacy starają się jak mogą, by zaśmiec swój język. Telewizja niemal do każdego zdania dorzuca jakiś angielski wyraz. Pewnie wkrótce będziemy oglądać TV ze słownikiem w ręku. Dostaję ataku wściekłości, kiedy słyszę dziś małe dzieci, powtarzające za mamusią: "SUPER!" Jakby nie można było powiedzieć: świetnie, znakomicie, wspaniale, cudownie, byczo! Albo głupią manię używania czysto jankeskiego wykrzyknika "wow"! Zamiast polskiego "ojcie, o rany, o mamo!" to „wow” naszym wydaniu brzmi nieapetycznie, jakby się komuś odbiło! W przeciwieństwie do angielskiego, nasz język jest bardzo bogaty, tylko należy się nim od małego dziecka prawidłowo posługiwać. Świadczy to bardzo źle o naszym patriotyzmie, uzewnętrznianym jedynie na meczach piłki nożnej. (Ten komentarz jest już z dzisiejszych czasów.)

Szerokimi ulicami jedziemy w kierunku Góry Gellerta. Zawdzięcza ona swą nazwę biskupowi Gellertowi, świętemu męczennikowi. Dawniej góra miała złą sławę, jako siedlisko czarownic. Znajdują się na niej resztki Cytadeli, zwanej drugą Bastylią. Praktyczni Węgrzy urządzili w jej wnętrzu luksusową restaurację oraz hotel. Z tarasu na szczycie góry patrzą na przepiękną panoramę miasta, na ogromną kopułę Zamku i drugą Parlamentu. W błękitne niebo wznoszą się wieżycy kościołów, a za plecami mam kolosalny posąg Zwycięstwa, wyobrażający postać kobiecą z wieńcem laurowym. Jest to również pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej. Hm...za rok 1956? Był tu jeszcze jeden monument przypominający Węgrom "wyzwolenie". Na ogromnym cokole stał olbrzymi posąg Stalina, trzymającego wyciągniętą rękę nad miastem, gestem groźnego ostrzeżenia. W czasie rewolucji w 1956 roku, niewdzięczni Węgrzy, niepomni dobrodziejstw swojego patrona, rzucili się nań hurmem i rozbili posąg na miazgę, nawet pył nie pozostał ze "słoneczka narodów"!

Dunaj, jak szara wstęga, przecina miasto na dwie połowy, niosąc na falach białe wodoloty. Z wysokich kominów fabrycznych Csepel, przemysłowej części stolicy, wykwitają dymy i snują się nad rzeką. Wracamy autokarem do centrum Budapesztu i zatrzymujemy się na Placu Bohaterów. Ogromny plac otacza dokoła wspaniała kolumnada. Na środku Pomnik Tysiąclecia, przedstawiający wodzów madziarskich, którzy podbili Wyżynę Panońską. Pomnik wieńczy

strzelista kolumna z geniuszem na szczycie. Fronton kolumnady zamykają naturalnej wielkości rzeźby rozhukanych koni, ciągnących rzymskie kwadrygi. Przed placem wielki gmach Muzeum Narodowego, w kształcie belwederu, z pięknym tympanonem nad wejściem.

Och, zazdroszczę Węgrom tych budowli, na jakie wielka i o wiele bogatsza Polska nigdy nie potrafiła się zdobyć. Pani pilotka znowu pokrzykuje na nas, nakazując nam zajęcie miejsc w autokarze. Ta kobieta ma ogień w ... pupie! Ciagle nas pogania, jak srogi kapral oddział niedołęgów. Sama coraz to się ulatnia, to z kierowcą, to z węgierskim przewodnikiem. Jednak ja muszę jeszcze coś obejrzeć. Oto pod kolumnadą odkryłam niemal naturalnej wielkości posagi królów węgierskich. Przy każdym posagu tabliczka z krótką biografią.

Jest święty Stefan, ale ani słowa o tym, że był synem polskiej księżniczki. Podobnie potraktowano Ludwika Andegaweńskiego. Nie ma nawet wzmianki, że był również królem Polski oraz ojcem czczonej w naszym kraju królowej Jadwigi. Gorączkowo szukam podobizny Władysława III Warneńczyka, króla Polski i Węgier, ale nigdzie go nie widzę. Węgrzy widocznie uznali, że nie zasłużył sobie na pomnik. Władysław III Jagiellończyk, władca Polski i Węgów, wielki książę Litwy, ostatni nieszczęśliwy król - krzyżowiec, położył młodą głowę w bitwie z Turkami w bitwie pod Warną, w obronie krzyża i swego królestwa. Następnym tragicznym władcą mającym polską krew w żyłach był Ludwik Jagiellończyk, poległy pod Mohaczem w walce z Turkami. On także nie doczekał się pomnika. Po tych dwóch tragicznie zmarłych władcach nie ma na placu nawet śladu. Na marginesie tego wydarzenia, muszę się przyznać, że jechałam na Węgry z tą myślą, że wracam do ojczyzny mych przodków. Wiadomo, "Polak, Węgier, dwa bratanki".

Niestety, bardzo prędko wyleczono mnie z naiwnych wyobrażeń. "Bratanki" jakoś nie chcą się do nas przyznawać i prawdę powiedziawszy, bynajmniej nas nie kochają. Wystarczy, że ktoś posłysz polski język, a uprzejmy uśmiech znika z ich twarzy, zastąpiony kwaśnym grymasem. Dla turystów z innych krajów, Węgrzy są bardzo mili i gościnni, nas traktują jak zło konieczne, niechętnie, a nawet czasami wrogo. Nasłuchaliśmy się tutaj wielu przykrych uwag, często niesprawiedliwych. Poza tym, nie ma tu żadnego zrozumienia dla zachodzących w naszym kraju przemian. Węgrzy i Czesi nazywają nas leniami, umięcymi jedynie strajkować i pokpiwają sobie z naszych pustych sklepowych półek, podczas gdy pracownicy, mający wytwarzać dochód narodowy, zajmują się pyskówką na wiecach.

Być może jest to skutek politycznej propagandy antypolskiej, ale nie całkiem, bo w zupełnie prywatnych rozmowach, Węgrzy i Czesi wypowiadają się o nas bardzo zjadliwie. To mnie zastanawia, bo zakładając, że Czesi mają podstawy, by nie żywić do nas sympatii za rok 1938 i 1968, o tyle Węgrzy powinni być nam wdzięczni za pomoc i serce okazane im w czasie rewolucji w 1956 roku. Wtedy Polacy z narażeniem życia nieśli pomoc walczącym Węgrom, oddawali krew i przyjmowali osierocone węgierskie dzieci. Ale dziś już się tutaj o tym nie pamięta. Znowu wsiadamy do autokaru i jedziemy do Placu Bema, na którym stoi pomnik generała. Witaj Bem Apo, rodacy cię pozdrawiają! Pomnik stoi wciśnięty w kąt małego skwerku, jakoś wstydliwie i skromnie. Jest brudny i zaniedbany, a pod pomnikiem nie ma nawet jednego kwiatka!

Obiad mamy zamówiony w restauracji "Karpatia", lecz dopiero o 14-tej. Teraz południe i pozostały aż dwie godziny wolnego czasu. Stwierdziłam, że warto zwiedzić sąsiednią Váci utca. Jestem już zmęczona, bo od siódmej rano cały prawie czas na nogach. Nasze towarzystwo rozchodzi się po sklepach, a ja idę na słynną ulicę i na małym placu siadam na ławce. Czym dla Paryża Pola Elizejskie, a dla Londynu City, tym dla Budapesztu jest właśnie Váci utca. Witryna obok witryny, a każda niepowtarzalna. Wytworne stroje, luksusowe obuwie, futra, klejnoty, bielizna powiewna jak mgła, najwyszukańsze delikatesy. Po prostu naj, naj, naj!...

Obok placu elegancka kawiarnia, oczywiście prywatna, bo w Budapeszcie jest 11 tysięcy sklepów prywatnych, w tym hotele, winiarnie, restauracje i wiele innych branż. Na tarasie kawiarni, przy stolikach ukrytych w cieniu palm i krzewów różanych, siedzą rozparci wygodnie bogaci turyści z Zachodu, a obok nich skromnie ubrani młodzi ludzie, zapewne studenci, bo

słodczy są na Węgrzech tanie i każdy może sobie pozwolić na jakiś smakołyk. Koło mojej ławki przystanął sprzedawca lodów i owoców, ma przed sobą cały sklepik na kółkach. Bardzo różni się od naszych niechlujnych lodziarzy. Jego wózek lśni niklem i bielą, a sam sprzedawca ubrany jest w białe ubranie i kolorową czapeczkę. Natychmiast otoczyły go dzieciaki, a lodziarz nakłada im do kartonowych kubków duże porcje lodów z czekoladą. Ach, mam szaloną ochotę na loda, ale rozsądek podpowiada mi, że należy oszczędzać każdy forint, poza tym kłopoty z krtanią nie minęły i dalej łykam antybiotyki. W końcu nie wytrzymuję i kupuję dużą torbę winogron fioletowych i ciężkich od słodkiego soku. Sprzedawca popycha swój wózek i znika za rogiem ulicy.

Moją ławkę odgradza od sąsiedniej, wysoka drewniana drabinka, z rozpiętymi na niej pnąciami różami. Wielkie kremowe kwiaty mają odurzający zapach, a z małej fontanny w kształcie lwiej paszczy, spływają do granitowej misy strumienie wody. Tak przyjemnie siedzieć tutaj, o niczym nie myśleć i tylko obserwować płynący ulicą potok aut i przechodniów. Czuję dla Węgrów wielki podziw i szacunek za ogromny wysiłek, na jaki potrafił się zdobyć ten mały naród. Ze skrajnej nędzy po roku 1956, stworzyli ogromną bazę turystyczną, atrakcyjną dla turystów zachodnich, rozwinęli handel i usługi prywatne i dziś mogą nam imponować rozmachem i bogactwem kapitału zagranicznego. My niestety, nie umiemy zdobyć się na taki wysiłek. Nie szanujemy pieniędzy państwowych, marnujemy miliony. Co miesiąc spisuję na straty rdzewiejące na deszczu zagraniczne maszyny i urządzenia, kupione za dewizy i zupełnie nie wykorzystane. Za te wyrzucone do błota pieniądze, można by zainwestować w budowę bazy turystycznej, czyniąc Polskę krajem, do którego warto przyjeżdżać. Mamy więcej atrakcji turystycznych niż Węgry, wystarczy je tylko zareklamować i postarać się, aby turysta miał gdzie przenocować i co zjeść. Ale Polska nigdy nie miała szczęścia do mądrych, przewidujących rządzących. Dziś czujemy się w Europie żebrakami i tak jesteśmy przez cudzoziemców postrzegani.

Moje przykre dywagacje na temat, przerywa jakaś para zbliżająca się do sąsiedniej ławki. On, szpakowaty pan w eleganckiej beżowej koszuli i spodniach pod kolor, z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię. Starsza pani ubrana w biały kostium, ma na głowie ekscentryczny kapelusik przybrany kwiatami. Sądząc po jej kapeluszu, mam przed sobą Amerykanów. Ukryta za zasłoną z róż jestem dla nich niewidoczna. Ciężko sapiąc siadają na ławce i Amerykanka odzywa się do swego towarzysza:

- Ale mi nogi w dupę wlaży!

- To po co tyle łazisz?

- Przecież chciałeś coś kupić, co, nie? Jak się chce kupować, to trzeba pochodzić. Fajne ciuchy kupiliśmy. Ha, ha, ha... Mariola pięknie, jak purchawka, kiedy włożę ten różowy kostium. Słuchaj, widziałeś to futro z lisa? Nawet niedrogie, może weźmiemy? A ten kołnierz z karakułów będzie dla Patrycji.

Mężczyzna głośno smarka i ciężko oddycha, zmęczony upałem.

- Nie wiem, czy wystarczy nam forsy. Kupiłem dziesięć zegarków elektronicznych.

- Po co aż tyle?

- Bo Artur mówił, że opyli od ręki!

- Wiesz, kotku, ja to bym jeszcze chciała ten pierścionek z kamieniem księżycowym! - wzdycha romantycznie "Amerykanka" z Babich Dołów, lub z Pikutkowa.

- Czyś ty zwariowała? - zdenerwował się facet. - Jak to wszystko przewieziemy, nie wiesz?

- Włożysz w karoserię! - radzi "Amerykanka".

- Myślisz, głupia, że tam nie szukają? Patryka tak przetrzepali, że nawet gacie kazali mu zdjąć i chłop z gołym tyłkiem przed celniczkami paradował!

- Bo z niego frajer! - śmieje się "Amerykanka". - Kto mu kazał towar w fotele chować?

- E, co ty tam wiesz. Nie miał chłop szczęścia i tyle! - wzdycha ciężko mężczyzna.

Nastąpiła chwila ciszy, bo "Amerykanka", zapala papierosa i zaciąga się dymem.

- Kotku, trzeba kupić czerwonego szampana. Przyda się na imieniny Oliwii.

- Jakiej oliwy? Rzepakowej, czy z pierwszego tłoczenia? Też dali dziewczusze głupie imię. Za moich czasów miałyby na imię Mańka i koniec.

- Bo takie są teraz modne. Nie znasz się na tym, co jest trendy! Trzeba wziąć ze dwadzieścia butelek.

- Dobra. Słuchaj, stara, ile wydałaś forintów?

"Amerykanka" przelicza półgłosem pieniądze i wydaje okrzyk przerażenia.

- Cholera, wydałam osiemnaście tysięcy z ogonkiem!

Mężczyzna bardzo brzydko obraża własną matkę.

- Na głowę upadłaś? Na co aż tyle wydałaś?

- Jak to na co? A kto kupił siedem złotych łańcuszków? Przecież dałam ci pieniądze, co nie? No, nie jest tak źle, kotku. Mohery sprzedam po dwa...nie, po trzy tysiące od sztuki, to się wrócą pieniądze za łańcuszki. Futro zostawię sobie, czapę z lisa też.

- Gównu sobie zostawisz! - stanowczo przerywa jej "kotek".- Samanta sprzedaje futro doktorowej. Jeeezu, kto tak te dziewczuchy ponazywał? Mogła się wabić Małgośka albo Zuzia, też ładnie.

- Ona? Nic jej nie dawaj, bo znowu cię suka ocygani.

- Spokojna czaszka. Ostatnio orzynałem ją na sto doliców, he,he,he!

- A przedtem ona ciebie! - upiera się "Amerykanka".

- Zamknij pysk. To handlowe ryzyko i tyle. - oznajmia spokojnie "kotek".

Inteligentny dialog przerywa im młoda dziewczyna, która w tym momencie podchodzi do ławki. Ma na sobie trykotową bluzkę z amerykańską flagą i jest bez stanika. Obcisłe dzinsy podkreślają, że jest raczej nisko skanalizowana. Staje w szerokim rozkroku i wachluje się gazetą.

- Anżeliko, córeczko, aleś się zgrzała! - woła troskliwa mama. - Myślałam, że poszłaś zwiedzić Zamek.

- E, kto by tam chodził, same starocie! - Mamo, tam w sklepie na rogu są takie fajne czarne majtki z koronki. Kup mi ze trzy pary.

- To daleko? - pyta zrezygnowanym tonem matka.

- Nie. O, tutaj! Widzisz ten złoty szyld?

- Po jaką cholere potrzebne ci koronkowe majtki? Komu chcesz się w nich pokazywać? - pyta podejrzliwie ojciec rodziny.

Dziewczyna śmieje się zalotnie.

- Może znajdzie się ktoś... A co, starą panną mam zostać?

- Anżelika ma rozum. - stwierdza mama i z westchnieniem podnosi się z ławki.

- Moja matka była Aniela, a nie żadna Anżelika. - mruczy ponuro ojciec, mierząc córkę krzywym okiem. - Pogłupiały te babska. To nie po katolicku.

- To co, kotku, pójdziemy?

Nareszcie odchodzą! Odprowadzam ich wzrokiem. Nie ma co, dobrana rodzinka. Jak tu się potem dziwić, że Węgrzy i Czesi nas lekceważą, a ekspedientki w sklepach obsługują nas z nieukrywaną niechęcią. Boże, przecież nie wszyscy Polacy to geszefciarze. Część z nas znalazła się tutaj z konieczności, bo w kraju kupienie czegokolwiek graniczy z cudem. Czasami wolę nie przyznawać się głośno, że jestem Polką. Mam przy sobie notes i spisuję na gorąco ten interesujący dialog rodaków.

Restauracja "Karpatia" jest pięknym lokalem, urządzonym secesyjnie, jak wiele innych w mieście, bo Węgrzy kochają się w tym stylu. Na ścianach ciemne boazerie, lśniące meble imitujące antyki, okna poprzysłaniane gęstymi firankami i ciężkimi storami, stwarzają nastrojowy półmrok.

Portier w liberii otwiera nam rzeźbione drzwi i kłania się z uszanowaniem. Stopy toną nam w grubym dywanie, a na małym podium orkiestra złożona z pianisty i skrzypka gra wiedeńskie walce. Zaraz widzę, że naszym wycieczkowiczom jest nieswojo w tym pięknym miejscu. Wchodzą nieśmiało, tak jakoś boczkim, nie wiedząc co zrobić z rękami i siadają niezgrabnie.

Jedna z pań, siedząca przy naszym stoliku, zwraca mi uwagę, żebym nie kładła białej,

szywno krochmalonej serwetki na kolanach, bo mogę ją pobrudzić! Tłumaczę, że po to są serwetki, aby uchronić suknię od poplamienia. Ale ona mi nie wierzy i starannie odkłada serwetkę na bok. Większość Polaków dopiero po kilku wypitych wódkach staje się rozmowna i hałaśliwa. Na trzeźwo wszędzie czują się intruzami. Brak im po prostu oglądy i obycia. Ale tego nikt sam się nie nauczy, to już trzeba wynieść z domu!

Siedzimy w wygodnych krzesłach z poręczami, oczekując na kelnerów. Zjawiają się bardzo szybko i bez szmeru ustawiają talerze i sztućce. Na niklowanym wózekczku podjeżdża waza z zupą. Jem z apetytem rosół z makaronem cienkim jak włos. Ale przy drugim daniu ogarnia nas lekka rozpacz.....Ryż! Przepraszam, tym razem nie ryż, lecz makaron łudząco podobny do ryżu, do tego sos paprykowy i mikroskopijny kawałek mięsa. Przystawki i deseru nie ma! Proszę kelnera o menu. Jest w kilku językach, także w niemieckim.(polskiego nie ma).Uważnie studiuję kartę potraw i ceny.

Okazuje się, że tutaj wcale nie jest drogo. Obiad z zakąskami kosztuje około 50 forintów. Kawa 5 forintów i to znakomita kawa, nie nasza rodzima lura! Pokazuję menu panom, którzy na Węgrzech już bywali. Szybko przeliczają wysokość forinta w stosunku do naszej złotówki i wtedy okazuje się, że ktoś solidnie zarabia na naszym wyżywieniu. Obliczamy, że dziennie okrada nas na około 60 forintów, a może nawet więcej. Mnożąc to przez ilość osób, wychodzi wcale pokaźna sumka!

Na własny koszt zamawiam sobie dużą mocę, do tego porcję bitej śmietany z czekoladą i bakaliami oraz biszkoptem. Niech tam, raz się żyje! Po obiedzie pilotka informuje nas, że możemy popłynąć statkiem po Dunaju. Jedziemy na bulwary, gdzie znajduje się przystań statków spacerowych. Na wprost portu budynek Parlamentu. Ogromna złota kopuła błyszczy w słońcu. Bardzo chciałabym zwiedzić ten wspaniały gmach, ale pilotka powiada, że to niemożliwe, bo organizatorzy tego w programie nie przewidzieli. A to ciekawe - o ile wiem, to ona ustala program zwiedzania. Jestem zła, ale nie wszczynam dyskusji, bo wiem, że nikt by mnie nie poparł. Naszych rodaków zabytki nie obchodzą, wołają bazar Moskwa. A jechał ich sęk! Postanawiam w najbliższym czasie urwać się i zwiedzić coś na własną rękę.

Po wąskim trapie wchodzimy na pokład dużego białego statku. Jak na złość, pogoda zmienia się i zaczyna kropić deszcz. Oj, diabli nadali pluchę! Naraz mgła otula brzegi, zasłaniając kontury najpiękniejszych budowli. Stoimy na pokładzie lekko podzwaniając zębami. Nad nami szare obłoki z których kapią krople deszczu. Potem zrywa się lodowaty wiatr i robi się naprawdę nieprzyjemnie. Pilotki z nami nie ma - jak zwykle ulotniła się razem z kierowcą i Szandorem.

Robimy sobie na pokładzie zdjęcia na tle Parlamentu. Miałam nadzieję, że dopłyniemy do Szentendre, ale niestety zawracamy do Budapesztu. Wielka szkoda, bo w tym niewielkim miasteczku są cenne zabytki. Visegrád od Szentendre dzieli tylko 15 km, lecz nikt nie pomyślał żeby nam to ciekawe miasteczko pokazać. Rozczarowana idę na dziób statku, żeby popatrzeć na Dunaj. W dalekiej perspektywie wynurza się z mgły gmach Parlamentu. Cóż to za wspaniała budowla! Jest mi przykro, że Polska nigdy nie zdobyła się na takie monumentalne budownictwo. Parlament rozsiadł się w całej kracie nad samym brzegiem rzeki, a jego wygląd świadczy, że to stara, szacowna budowla.

Nic podobnego! Budowę na ogromną skalę rozpoczęto dopiero pod koniec XIX wieku. Gmach ma 268 m długości i 118 m szerokości. Wysokość kopuły wynosi 96 m. Budynek posiada 10 wewnętrznych dziedzińców i 29 klatek schodowych. Parlament jest siedzibą Zgromadzenia Narodowego i Urzędu Premiera. Gmach szczególnie pięknie prezentuje się nocą, oświetlony kolorowymi reflektorami, sprawia wrażenie pałacu z bajki.

Na statku, oprócz nas, płynie wiele innych wycieczek i turystów indywidualnych. Słyszę język hiszpański, ktoś inny mówi po grecku, są nawet turyści z Iraku i Arabii. Istna wieża Babel! Widzę, że kilku naszych panów zaczyna się koło nich kręcić. Turyści zwąchali pismo nosem i otaczają Polaków zwartym kręgiem. W jednej chwili rozpoczyna się handel walutami. Jezus, ci ludzie mają chyba komputery w głowach! Z niesamowitą wprost znajomością czarnorynkowych

kursów walutowych, błyskawicznie przeliczają kursy według dolara, funta angielskiego, franka, marki, forinta, lewa, dinara..... nie do wiary, jednak to fakt.

Mówiąc delikatnie, niezbyt dobrze świadczy to o nas. Podejrzewam, że cudzoziemcy mają także o nas, kobietach, niepochlebne zdanie, bo jesteśmy dosyć ordynarnie zaczepiane. Jakiś facet o ciemnej karnacji, coś do mnie mówi, wyciągając przy tym plik banknotów. To nie jest Europejczyk, bo nie rozumiem jego języka. Z oburzeniem pukam się wymownie palcem w czoło i mam wielką ochotę pokazać mu, zapamiętany z amerykańskich filmów znak pogardy: środkowy palec! Ale boję się awantury i prędko schodzę pod pokład do kawiarni. Jestem bardzo przemarznięta i szczekam zębami, dopiero w pobliżu ciepłej maszynowni odrobinę się rozgrzewam. W kawiarni zamawiam kawę, ale zapominam dodać, że proszę o dużą. Otrzymuję małą filiżankę z naparsteczkiem kawy, dosłownie na jeden łyk.

Przybijamy do brzegu i ponad godzinę czekamy na autokar z plotką i węgierskim cicerone. Nawiasem mówiąc, Węgier napracuje się u nas tyle, ile kot napłakał, ale kto wie, może dolicza do rachunku także przepracowane nocki?

Powoli się ściemnia. Teraz mamy w programie kolację, połączoną z degustacją wina i występami. Deszcz leje już strumieniami, więc gdy autokar wyrzuca nas na nieznanej ulicy, wpadamy pędem do lokalu, (nie pamiętam jak się nazywał). Moja staranna rano fryzura przedstawia się oplakanie, z kosmyków skapują strumyki wody. Do takiego lokalu nie jestem odpowiednio ubrana, gdyż pani pilotka nie powiedziała nam, że jest to lokal nocny. Mam na sobie tylko sportową kurtkę, skromną bluzkę i spódnicę. Wszystko jest zmięte, nieświeże po całodziennym łążegowaniu, nie mamy możliwości, by umyć ręce i poprawić makijaż.

Naszyc panów to nie dehumoruje, ale ja jestem skwaszona, bo na takie okazje lubię być ubrana "od wielkiego dzwonu". Jak powiada Ojciec. Widzieć dokoła eleganckie toalety i staranne makijaże, a samej czuć się jak Kopciuszek, to naprawdę nie należy do przyjemności. Nasza pilotka gdzieś się przebrała. Ma na sobie bluzkę z dżetami i spodnie ze srebrnej lamy, które uwydatniają jej krzywe nogi z dużą szparą między udami. Makijaż ma także wieczorowy, przy niej Szandor we fraku - wygląda jak sympatyczny pingwinek. Na stołach przygotowane są już bogracze z gulaszem. Delektuję się tą popularną zupą, którą tu jemy po raz pierwszy. Mogliby w "Silvanusie" zamówić dla nas taki jadłospis, bo to i tanie i smaczne. Ale nie, karmią nas samym ryżem, jakbyśmy byli w Chinach.

Jak to zwykle u nas bywa, towarzystwo siedzi w milczeniu i spod oka rozgląda się po wielkiej sali wspartej na kolumnach, z dużym podium, na którym orkiestra w narodowych strojach węgierskich, stroi instrumenty. Cała sala podzielona jest na łóża otwarte z przodu, środek zajmuje parkiet do tańca. Goście są elegancko ubrani, panie w wieczorowych sukniach, obwieszone biżuterią, z pewnością nie z Jablonexu. Panowie w ciemnych garniturach, dostrzegam nawet kilka smokingów. Po gulaszu dostajemy jakąś rybę przyprawioną na ostro i paprykarz. Przed każdym nakryciem stoją trzy kieliszki wina, każdy innego gatunku. Ja nie mogę pić, bo dziś ostatni dzień biorę antybiotyki i odstępuję wino Marysi. Szkoda, przepadła mi taka okazja!

Na estradzie regionalne zespoły tańczą szalone czardasze i tańce pasterzy. Podoba mi się taniec z batami, wymagający akrobatycznej zręczności. Potem orkiestra gra na życzenie piosenki różnych narodów. Dla nas, Polaków, grają: "Szła dziewczeczka do laseczka". Towarzystwo trochę się już rozkrochmaliło i panowie robią składkę na bis. Zaczynają się śpiewy z tradycyjnym "Góralem" i "Katuszą", jakby nie było polskich piosenek. Mężczyźni wydzierają się z fatalnych akcentem, a w pobliskich łóżach siedzą Rosjanie i biją nam brawo. Bardzo lubię Rosjan oraz ich muzykę, lecz wolę nie komentować ich uwag!

W sąsiedniej łóży siedzą iraccy turyści, których widziałam na statku. Jeden z nich zakochuje się w naszej Marysi i posyła jej namiętne spojrzenia. Żartujemy, że Marysia ma szansę stać się ozdobą jakiegoś haremu. Marysia robi do Irańczyka oko i na serio z nim flirtuje, bo jak powiada, pragnie mieć coś do opowiedzenia córkom. Przysiada się do nas jakiś Węgier porządnie ululany i czule nas obcałowuje, wołając przy każdym toaście: - Eljen Lengyelorszaäg! - to znaczy: "Niech żyje Polska!". Jest to pierwszy tubylec okazujący nam sympatię, ale kładę to na

karb stawianego mu przez naszych panów wina, które Węgier ciągnie jak smok.

Dla naszych wycieczkowiczów trzy kieliszki, to małe piwo, zamawiają coraz to nowe butelki i zaczyna się rzewny narodowy ochlaj. Brzydkie słowo, lecz oddaje w pełni prawdziwy nastrój. Panowie piją brudzia z paniami i między sobą. Ogólne "kochajmy się", po czym następują tańce-łamańce. Obrusy czerwienieją od wylanego wina, wiara porykuje z wielkiej radości życia i przewraca się na parkiet ku wielkiej ucieście cudzoziemców. Na szczęście kolacja kończy się o północy, bo musimy wstać o bladym świcie. Rozbawione towarzystwo wytacza się na ulicę, niektórzy mają trudności z trafieniem do drzwi wejściowych. W autokarze chór podpitych pań intonuje pieśni "musowe" i jak to bywa, jeden chce przekrzyczeć drugiego. Niektórzy głośno czkają i autokar musi zatrzymać się co jakiś czas, żeby ktoś nie zanieczyścił wnętrza. Rodacy "haftują" pobliskie krzaki. Zabawa była bardzo udana.

Szandor powiada, że tylko Polacy potrafią się tak bawić, nie wiem czy to komplement, czy złośliwe stwierdzenie faktu. Po przyjeździe do "Silvanusa" obyczaje się całkiem rozluźniają i pilotka już jawnie idzie spać z Szandorem, kierowca zabiera do siebie jakąś młodą dziewczynę. Rozchodzimy się do pokoi syci wrażeń z pięknej wycieczki.

Wstajemy o 6,30. Dzień jak na zamówienie, słoneczny i ciepły. Punktualnie o 7-mej schodzimy na śniadanie, składające się tym razem z kanapki z serem i soku owocowego. Pytam pilotkę, dokąd dziś pojedziemy? Odpowiada, że na ogólne żądanie kierowca zawiezie nas na bazar, a potem zrobimy zakupy przed wyjazdem. Nie mam najmniejszej ochoty narażać się na bazarze i oświadczam pilotce, że rezygnuję z wyjazdu do Budapesztu. Pilotka wzrusza ramionami, sądząc po jej podbitych oczach i kwaśnej minie, ma potężnego kaca.

- Jak pani chce, ale straci pani obiad, bo jemy w Budapeszcie. - oświadcza oschle.

- Nie samym obiadem człowiek żyje. - odpowiadam ze śmiechem i wolna jak ptaszek wracam do pokoju. Mam przed sobą cały dzień swobody, bo towarzystwo nie wróci przed 20-tą, a może jeszcze później.

Ogarnia mnie uczucie radosnego oczekiwania, jak zwykle, kiedy przede mną wiele godzin samotnego zwiedzania. Czuję się lekka i beztroska, stanowczo brak mi instynktu stadnego, wolę być sama. Z miejsca układam sobie plan wycieczki: najpierwsza Góra Zamkowa na której mieszkamy, potem Esztergom - tam zrobię zakupy, a jak wystarczy czasu wskoczę do Budapesztu!

Wkładam do torby notatnik, długopis, orzeszki w czekoladzie i w drogę. Schodzę w dół zbocza i po drodze natrafiam na autentyczną zakopiańską chałupę! Stoi, jak na Skibówkach, ze spiczastym dachem i wyciętym nad drzwiami słońcem. Zaczepiam pierwszego napotkanego człowieka i pytam po niemiecku, kto tam mieszka? Węgier informuje mnie uprzejmie, że to dom wybitnej tłumaczki literatury polskiej i poetki, pani Gracji Kerenyi. Widocznie ta pani kocha Zakopane, ja także! Notuję jej nazwisko i idę dalej w kierunku ruin zamkowych.

Visegrád - dla każdego, kto choć trochę interesuje się historią, ta nazwa nie jest obca. Tutaj, w roku pańskim 1335 na zjeździe monarchów, zapadła decyzja o przekazaniu tronu polskiego Ludwikowi Andegaweńskiemu, siostrzeńcowi Kazimierza Wielkiego. Na tym zamku, będącym wówczas stolicą Węgier, rozegrała się tragedia godna pióra Szekspira. Oto magnat węgierski Felician Zach, mszcząc się za córkę, rzekomo zgwałconą przez księcia Kazimierza, późniejszego króla Kazimierza Wielkiego, będącego z wizyta u siostry Elżbiety, królowej Węgier, postanowił zamordować króla Karola Roberta. Podczas śniadania rzucił się na bezbronnego monarchę, zamierzając przebić go mieczem. Królowa Elżbieta, której dworką była Klara Zach, w ostatniej chwili zasłoniła męża rozłożonymi rękami. Zach ciął mieczem i cztery palce królowej upadły na posadzkę. Na przeraźliwy krzyk, do sali wpadli dworzanie i zamachowca roznieśli na mieczach.

Na tym tragedia się nie kończy, piękna Klara po straszliwych torturach zostaje stracona, dalsi krewni również. Królowa od tego czasu nie zdejmuje z ręki rękawiczki i przechodzi do historii pod przezwiskiem Kikuty.

A zamek? Był cudem średniowiecza, miał 350 komnat, wiszące ogrody i śpiewające fontanny. Wzniesiony z marmuru przez króla Karola Roberta, był ziemskim rajem. Czytałam, że nuncjusz papieski pisał o nim: "Ex Visegrado, Paradiso Terrastri." To znaczy: "Z Visegradu,

ziemskiego raju." Kto jak kto, ale Włoch z pewnością znał się na rzeczy. Potem zamek utracił znaczenie, stolicę przeniesiono do Budapesztu, wojny i czas dopełniły dzieła zniszczenia. Dziś z ziemskiego raju pozostała tylko warowna baszta i brama połączona murem obronnym z ruinami wysokiego zamku. Za to kilka domów mieszczańskich ma ściany z kradzionego z pałacu marmuru.

Staje pod basztą i widzę, że jest dosłownie nabita kulami armatnimi. Niektóre bardzo stare, pamiętające wojny tureckie, inne nowsze z XVIII i XIX wieku. Wygląda to oryginalnie i groźnie. W baszcie starannie zachowanej, jest kawiarnia i winiarnia, obok sklepik z pamiątkami. W kawiarni rozsiadła się grupa Japończyków, ja wolę być sama. Idę wzdłuż muru na stok góry, skąd widać przepiękną panoramę całego zakola Dunaju, a wzrok sięga aż do granic horyzontu. Pod wielkim dębem, skąd widok jest najładniejszy, stoi ławeczka. To typowe dla krajobrazu węgierskiego. Gdzie tylko jest coś godnego obejrzenia, tam znajduje się ławka. Siadam i patrząc na wiekowe mury, puszczam wodze fantazji i przenoszę się w wyobraźni w XIV wiek.

Z bocznej furty, na którą właśnie patrzę, wychodzi mała dziewczynka. Na rozpuszczonych długich, jasnych włosach, ma diadem z pereł. Taki sam naszyjnik zdobi jej błękitną aksamitną suknię. Dziewczynka z gracją trzyma w rączce cienką chusteczkę, drugą rączką podnosząc nieco ciężką suknię. Uśmiecha się lekko do słońca i ukwieconej łąki, a jej niebieskie oczy patrzą na świat z niedzielną powagą. Za dziewczynką postępują powoli i dostojnie dworki w sztywnych, brokatowych sukniach, z kwiatami wplecionymi w warkocze, prowadzone przez starszą ochmistrzynię w wysokim, karbowanym czepcu na głowie.

Dziewczynka ma na imię Jadwiga i nieświadoma swoich przyszłych losów, biega wesoło po łące, zbierając kwiaty do wianka. Natura hojnie obdarzyła to królewskie dziecko. Dała jej smukłą postać, zapowiadającą wysoki wzrost - gdy dorośnie osiągnie 1,80 cm. Ma gęste blond włosy, prześliczne oczy i zęby. Dała jej również wrodzoną dumę i poczucie własnego majestatu. Kiedyś, po latach, sławić ją będą pieśni trubadurów i minstreli, a Kościół wyniesie ją na ołtarze. Lecz mała królewna jeszcze nie przeczuwa przyszłej wielkości i osobistego dramatu. Wraz z pięknnością dynastii Andegaweńskiej, odziedziczyła zaród śmiertelnej choroby, która wtrąci ją do grobu w dwudziestym czwartym roku życia.

Lecz Jadwiga jeszcze o tym nie wie, jest ukochaną córeczką króla Ludwika i królowej Elżbiety Bośniaczki, następczynią tronu węgierskiego, jednego z najświetniejszych królestw Europy. Dziewczynka ma w sobie krew królów Francji, Sycylii, Jerozolimy, Neapolu i polskich Piastów. W wieku czterech lat, została zaślubiona w Haimburgu małemu księciu Wilhelmowi Habsburgowi i jest już księżną Austrii. Na razie niewiele ją to obchodzi i bawi się wesoło. Lecz ciąży na niej tragiczne fatum - może klątwa Zachów? Nic co ukocha, nie będzie jej dane. Mężowie stanu już radzą nad jej przyszłością, kupczą dziecinnym ciałkiem, bo prawa dynastyczne są nieubłagane. Nie włoży korony królowej Węgier. Kiedy król Ludwik umiera młodo, na tron węgierski wstępuje starsza siostra Maria, przewidziana na królową Polski, a kiedy i ta umiera, korona przypada drugiej siostrze Katarzynie. Królowa Elżbieta przyrzeka swoją najmłodszą córkę panom polskim. Dziesięcioletnia dziewczynka z płaczem żegna matkę i ukochane Węgry, wyjeżdżając do Polski, na razie tylko na kilka miesięcy...

Nigdy już tu nie powróci. Jeszcze o tym nie wie, a jednak rozpaczliwie płacze w ramionach matki. Elżbieta pochyla się do ucha córki:

- Jadwigo, królowie nie płacz!

Z ziemskiego raju daleka droga wiedzie na zimny, obcy Wawel. Jakże ciężka jest złota korona króla Polski, bo Jadwiga koronowana jest na króla, nie na królową. Mały król boi się ciemnych, ponurych komnat gotyckiego zamczyska. Dokoła obce twarze, obca mowa, której musi się dopiero nauczyć. Daleko pozostały Węgry i słoneczny marmurowy Visegrád. Z ojczyznego kraju dochodzą straszne wieści. Ukochana matka zostaje uduszona przez spiskowców, a jej ciało zwisa na powrozie z wieży zamku. Potem umiera siostra Katarzyna i Jadwiga zostaje na świecie sama. Jedyna chyba w dziejach świata królowa obdarzona misją apostolską, bezkrwawo przyłącza do swego królestwa na wpół pogańską jeszcze Litwę, a wraz z nią wielką Ruś. Ale ceną za to jest jej osobiste szczęście. Poślubia księcia Litwy Jagiełłę i wyrzeka się poślubionego w dzieciństwie

Wilhelma. Jadwiga hojnie łoży na oświatę swoich poddanych, jest miłosierna i szczodra. Najpiękniejsza z władczyń średniowiecznej Europy, nigdy nie zazna osobistego szczęścia. Przez długi czas nie udaje jej się dać swemu narodowi następcy tronu.

Skażona krew królów Francji i Jerozolimy, nieposkromiona krew Piastów, tworzą w jej żyłach przedziwny amalgamat. Dręczy ją przecucie śmierci na wiele lat przed zgonem. Śmierć nadchodzi w chwili, gdy los się do niej uśmiecha i zostaje matką.

Berło i korona włożone do jej trumny, są z pozłacanego drewna. Prawdziwe regalia ze złota i drogich kamieni, Jadwiga kazała sprzedąć, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży, przekazała krakowskiej Akademii dla przyszłych pokoleń. Dawna ojczyzna zapomniała o niej i nigdzie nie dostrzegłam tabliczki z informacją, że w tym miejscu urodziła się i mieszkała Hedvigis Rex Poloniae et Lituaniae - władczyni największego państwa średniowiecznej Europy.

Lecz w tej drugiej - niechcianej ojczyźnie, pamięć o wielkiej królowej żyje do dnia dzisiejszego. Oddał Jadwidze sprawiedliwość bezimienny kronikarz, pisząc po jej śmierci: "Nie było jej równej istoty z królewskiego rodu na całym świecie." Prześliczna postać młodzińczej królowej wykuta w białym alabastrze przez natchnionego artystę, przyciąga do katedry wawelskiej rzesze turystów i pobożnych czcicieli. A ona śpi, słodka i piękna, snem nieprzespanym, podobna do mistycznego kwiatu, zaś na płycie jej grobowca niemal zawsze leżą białe róże.

Spłoszona głośną rozmową, wracam ze świata marzeń do rzeczywistości. To turyści japońscy przyszli tu i filmują Dunaj oraz ruiny zamku. Odchodzę, oglądając się z żalem - żegnaj śliczna Królewno!

Wracam do hotelu i w recepcji dowiaduję się, że hotelowy mikrobus zawiezie mnie do przystanku autobusowego pod Górą Zamkową. Czekam na autobus niecałe dziesięć minut. Autobus jest czysty i elegancki, a uśmiechnięty kierowca, (ojej, nie za dużo tego dobrego?) obiecuje wysadzić mnie przy ABC, gdzie zamierzam zrobić zakupy przed wyjazdem.

Kupuję wyłącznie artykuły trudno dostępne w kraju. Rajstopy dla siebie, skarpetki dla Ojca, oliwę, makarony, szynkę w puszcze, kawę, czekoladę i papierosy - dużo papierosów. Wiem, że to głupota wyrzucać pieniądze na papierosy i puszczać je dosłownie z dymem, ale mam bardzo nerwową i wyczerpującą pracę, a czasy są takie ciężkie i ponure, iż należy mieć choć złudną namiastkę uspokojenia. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że papieros nie uspokaja, bo kiedy go nie ma, wpadam w szal i gorączkowo przeszukuję kieszenie i szuflady. Toteż powiedziałam sobie, że po powrocie do kraju postaram się zerwać z tym kłopotliwym nałogiem. Słowa dotrzymałam i bez żadnych większych trudności, pewnego dnia rzuciłam papierosy i nigdy do palenia nie wróciłam!

W ABC z przykrością rezygnuję z czerwonego szampana, który chciałam przywieźć Ojcu w prezencie, muszę jednak liczyć się z funduszami. Zamiast szampana, kupuję dobrą herbatę, cytryny, wspaniale pachnące salami i dużą puszkę szynki. Na przejściu granicznym w Raba, dokupię jeszcze jutro czekoladę. Ojciec bardzo lubi słodkie. Przy stoisku gastronomicznym w ABC, ogarnia mnie zazdrość. Gospodynie węgierskie nie muszą, jak my, Polki, stać godzinami przy garach. Wszystko mogą kupić gotowe do spożycia, nawet ziemniaki są już obrane! Wielki wybór potraw mięsnych, rybnych, jarzyn i mącznych. Co dusza zapragnie.

Przypominam sobie, że nie mam dziś obiadu. Kupuję więc kilka maślanych bułeczek, białych i chrupiących, o jakich nawet nie śniło się panu ministrowi Krasińskiemu, obiecującemu nam świeże pieczywo. Obiecanki cacanki... Do bułeczek biorę trzy gorące paróweczki z musztardą, kilka plasterków soczystej szynki oraz salami i parę przepysznych ciastek. Węgrzy mają znakomite ciastka. Sprzedawczyni nie stoi jak malowana lala, lecz doradza i zachęca mnie do kupienia jeszcze kubka bitej śmietany z czekoladą. W barze wypijam mocną kawę, a jedzenie zabieram ze sobą, zapakowane w ładne pudełeczko, przewiązane kolorowym sznureczkiem. Obładowana zakupami jak dromader, chodzę po ślicznej Starówce, przyglądam się warownemu zamkowi biskupiemu i raz jeszcze wstępuję do bazyliki na paciorek. Muszę się jednak spieszyć, bo chcę jeszcze pojechać do Budapesztu i jak się uda to do Szentendre.

Wracam do Visegrád, a hotelowy mikrobus wiezie mnie do "Silvanusa". W pokoju zjadam swój "obiad" i przebieram się w strojnieszczą i lżejszą suknię, bo dzień jest bardzo ciepły, niemal

upalny. Ale znając kaprysy tutejszej pogody, narzucam na ramiona żakiecik, bo powrócę do hotelu dopiero wieczorem. W recepcji dowiaduję się, że autobus do Budapesztu mam dopiero za półtorej godziny. Jaka szkoda... Muszę tak długo czekać, a już minęła dwunasta. Jestem ostatni dzień na Węgrzech i koniecznie chciałabym coś jeszcze zwiedzić, bo tyle się o tym kraju naczytałam. Zrezygnowana siadam przed hotelem na ławce i smętnie przypatruję się zaparkowanym w pobliżu samochodom. "Takim to dobrze!"... - wzdycham.

Podejrzewam, że na Górze Zamkowej mają swą siedzibę dobre wróżki, bo któraś wysłuchiwała moich westchnień. Niespodziewanie podchodzi do mnie starszy, elegancki pan i odzywa się po angielsku pytając, gdzie chcę jechać? Nie znam dobrze języka angielskiego, więc pytam, czy rozumie po niemiecku? Tak. Wobec tego tłumaczę mu, że bardzo bym chciała zwiedzić Szentendre, ale chyba nie starczy mi czasu, gdyż najpierw mam autobus do Budapesztu. Pan mówi, że sam chętnie zwiedzi to piękne miasteczko i może zabrać mnie swoim samochodem. Przyglądam się mu uważnie i poznaję pana, który zawsze w jadalni spoglądał w moją stronę, ku uciesze koleżanek.

Nie jestem awanturnicą i nigdy nie wsiadam do aut nieznanych mi osób. Lecz w tej sytuacji jest to dla mnie jedyna szansa zobaczenia Szentendre. Dochodzę do wniosku, że po drodze nie grozi mi alternatywa: "cnotka albo piechotka", bo pojedziemy wzdłuż bardzo ruchliwego bulwaru nad rzeką. Mężczyzna ma zresztą pocziwą twarz i uśmiecha się zachęcająco, widząc moje zakłopotanie. A zresztą raz kozie śmierć, jadę! Mój nowy znajomy zaraz mi się przedstawia: Sven Johanson, z Malmö, jest inżynierem i pracuje w jakimś wielkim zakładzie przemysłowym. Z kolei ja mówię jak się nazywam i po tej wersalszczyźnie wsiadamy do srebrzystego Volvo. Po drodze rozmawiamy o węgierskich zabytkach i cieszę się, że trafiłam na bratnią duszę, bo pan Sven także interesuje się historią i zabytkami, jest tutaj już dwa tygodnie i zna najpiękniejsze zakątki tego uroczego kraju. Dziś wieczorem wraca do Szwecji, a ja jutro do Polski.

Szkoda, - myślę sobie w duchu. Szwed opowiada mi o krajach w jakich był: w Niemczech, we Włoszech, Francji, Grecji, Egipcie, w Emiratach Arabskich. Śmieję się i mówię, że Egipt to moje marzenie, lecz na razie mogę go obejrzeć na obrazku. Wzdycham z zazdrością, lecz zaraz pocieszam się myślą, że Szwecja w czasie II wojny światowej, była neutralna i nie została barbarzyńsko zniszczona jak Polska. Dlatego dziś może pozwolić sobie na wysoki standard życia obywateli.

Nareszcie przyjeżdżamy do Szentendre i na pierwszy ogień bierzemy Muzeum Etnograficzne. Zwiedzamy zupełnie unikalną drewnianą zabudowę dawnej wsi węgierskiej, z charakterystycznymi drewnianymi wieżyczkami, zdobionymi rzeźbionymi galeryjkami. Chaty z podcieniami i spiczastymi dachami, nieco przypominają chałupy zakopiańskie. Jest to budownictwo komitatu (powiatu) Szabolos, bardzo piękne i zdrowe, nie tak szablonowe jak nasze mrówkowce. Tutaj każdy dom jest niepowtarzalny, zresztą całe Szentendre jest prześliczne. Idziemy wąskimi uliczkami wznoszącymi się od brzegu Dunaju w górę. Małe domki z epoki renesansu z bogato rzeźbionymi portalami, są starannie zakonserwowane, czego niestety nie można powiedzieć o zabytkach Krakowa.

Serce mnie bolało, kiedy podczas zwiedzania Krakowa, patrzyłam na rozsypujące się średniowieczne domki na ulicach Kanoniczej, Poselskiej, Senatorskiej czy Grodzkiej, na Wawel podparty belkami i bazylikę Mariacki z wybitym witrażem. Uważam, że jest to również wina Kościoła, ostateczne chyba stać biskupa, żeby zafundować świątyni mariackiej porządną witraż. Za kilka lat nie konserwowane kamieniczki się zawalą i wszystko, co potem postawimy na tym miejscu, będzie jedynie kopią zabytku.

Szentendre zostało założone przez kupców greckich, a królowie obdarzali miasto przywilejami. Dzisiaj jest to ulubiona siedziba bohemy węgierskiej - miasto artystów. Tu również znajduje się muzeum słynnego malarza impresjonisty, niestety zamknięte. Trudno, nie obejrzymy obrazów. Krążymy urokliwymi uliczkami odkrywając ciągle coś nowego i ciekawego. O, jak to dobrze, że udało mi się tutaj przyjechać, zabiorę z sobą jeszcze jedno przyjemne wspomnienie.

Pan Sven pyta mnie, czy mam ochotę jechać do Budapesztu? O mój Boże, o niczym

bardziej nie marzę, ale nie śmiałam sama proponować takiej wycieczki uprzejmemu Szwedowi. Z przyjemnością stwierdzam, że mój nowy znajomy to człowiek taktowny i kulturalny. Razem zwiedzamy miasto i jestem zupełnie swobodna i nieskrępowana jego obecnością. Na jego propozycję z radością przystaję.

- Wobec tego, jedziemy do Budapesztu Fröken Elisabeth. - powiada.

Fröken, to chyba po szwedzku pani lub panna i nawet nie wiem, czy tak się pisze. Wsiadam do samochodu tak pechowo, że mocno uderzam się w kostkę.

- Psiakrew! - warczę, masując uderzone miejsce.

- To pani Polka? - pyta mnie Szwed w moim ojczystym języku.

- To pan mówi po polsku? - odzywam się po chwili, ogromnie zaskoczona.

Okazuje się, że pan Sven ma ojca Szweda, ale jego matka jest Polką i w domu mówiło się częściowo po polsku. Zabawnie wymawia niektóre wyrazy, lecz zupełnie zrozumiale.

- A ja pani miał za Niemka, bo nazwisko nie polskie. - tłumaczy.

Śmiejemy się serdecznie z nieporozumienia i od tej chwili już nie muszę łamać sobie języka, gdyż pan Sven, w przeciwieństwie do mnie, mówił bardzo biegle po niemiecku.

Volvo mknie z cichym szumem opon po dobrym drogach węgierskich i wkrótce z dala ukazują się nam przedmieścia Budapesztu.

- Gdzie my jechać? - odzywa się pan Sven.

- Do rzymskich wykopalisk. - odpowiadam zdecydowanie. Szwed uśmiecha się wyrozumiale, widząc mój entuzjazm i opowiada mi o swojej wycieczce do Pompejów i Herculanium. Och, ale mu zazdroszczę! Byłam we Włoszech, ale na Pompeje zabrakło nam z Ojcem pieniędzy.

Na wprost Góry Gellerta znajdują się resztki amfiteatru rzymskiego, przy bardzo ruchliwej ulicy. To zetknięcie się starożytności z nowoczesną cywilizacją jest oszałamiające. Z nabożnym skupieniem dotykam palcami kamiennej ławy. Przeleżała w ziemi, bagatela, półtora tysiąca lat! Ciekawa jestem, kto na niej siedział i na co patrzył. Niestety, nie mogę swoim zwyczajem usiąść i przenieść się wyobraźnią w czasy starożytne, bo Węgrzy prowadzą tu jakieś roboty archeologiczne i musimy odjechać. Przez Margit hid jedziemy w stronę Zamku. Raz jeszcze przy wspianalej pogodzie mogę podziwiać ten ogromny gmach i śliczną Starówkę. Włoczmy się wolno, od domu do domu, nikt nas nie pogania, niczego nam nie każe. Uri utca była niegdyś ulicą magnatów i bogatego patrycjatu miejskiego. Zachwycają nas szczególnie kamienne łoże dla woźniców, oczekujących niegdyś na swoich panów. Nigdzie się z czymś takim nie spotkałam.

Mozaiki na dachu kościoła św. Macieja, mienią się barwami tęczy w osłepiającym blasku słońca. Najwspanialszy rozwój Budapesztu, miał miejsce za czasów panowania króla Macieja Korwina w XV wieku. Wtedy cała Starówka pokryta była majolikami, podobnymi do tych dzisiejszych, na kościele. Ale cesarzowa Maria Teresa rozkazała wyburzyć część Starówki z resztkami pięknego zamku króla Korwina. Obecnie archeolodzy odkopują ruiny i starannie zabezpieczają przed zniszczeniem. Nie możemy zwiedzić całego zamku, wchodzimy tylko na dziedziniec. Komnaty otworzą dopiero po południu, lecz my nie mamy czasu, żeby czekać.

Obchodząc Starówkę trafiamy na stylową restaurację "Régi Országház" ("Stary Parlament"). Pan Sven powiada, że kuchnia tutaj: mniem mniem! Głaszcze się po żołądku i patrzy na mnie wyczekująco:

- Wejdziemy?

Błyskawicznie przeliczam w myślach pieniądze i stwierdzam z ulgą, że po zakupach pozostało mi jeszcze około 400 forintów. Powinno wystarczyć, jedzenie chyba tutaj aż tyle nie kosztuje. Idziemy! Nie, czegoś takiego wcale się nie spodziewałam. Mój ulubiony krakowski "Wierzynek" wysiada! Od progu jestem wprost oczarowana i nie wiem na co patrzeć. Niepowtarzalna atmosfera lokalu, feeria kolorów, bogactwo wystroju wnętrz - każda sala w innym stylu regionalnym, w innych kolorach i wzorach. W oczach się mieni od przebogatego wzornictwa. Restauracja usytuowana jest w piwnicach, gdzie niegdyś Turcy więzili węgierskich patriotów. Dziś także trudno stąd wyjść, na skutek znakomitych win podawanych do potraw.

Boże, jak ja zazdroszczę Węgrom i Czechom, tego kurczowego trzymania się tradycji narodowych. Niestety, my Polacy, nie szanujemy własnych tradycji, zastępując je na siłę, wpajaniem głupich i ordynarnych zwyczajów amerykańskich, nie mających nic wspólnego z polską kulturą. Moim zdaniem jest to bardzo groźne zjawisko, prowadzące nieuchronnie do wynarodowienia. Szczególnie młodzież przyswaja sobie tę modę zupełnie bezkrytycznie, czerpiąc wzory z telewizji, kina i szmatławej prasy.

W jednej z komnat restauracji, urządzonej na wzór spiżarni, po prostu mnie zatyka. Ślinka mi cieknie na widok zawieszonych pod sufitem wędzonych szynek, boczków, wianków cebuli i czosnku, salami i kabanosów oraz pęków pachnących ziół. Oj, czego tam nie ma! Nie są to bynajmniej atrapy, wszystkie wędliny są prawdziwe i świeżo wędzone. Ładna kelnerka w bogatym stroju ludowym, z uśmiechem zaprasza nas do stolika, podaje kartę dań i win. Wybór wielki i zastanawiam się niezdecydowanie, co mam wybrać. Spoglądam na ceny, nawet wcale nie wygórowane.

Pan Sven prosi, abym zdała się na jego wybór, przywołuje kelnerkę i zamawia potrawy i wina. Mam ochotę na gulyäs, ale Szwed kręci głową i każe podać "haläszlë", czyli ognistą zupę rybacką. Jest to potrawa z ryb bardzo ostra i pikantna. Należy ją spożywać, popijając białym winem, łagodzącym smak zupy. Piekło w ustach, ale smak znakomity. Robi się tę zupę z kilku gatunków ryb: karpia, leszcza, szczupaka, z dodatkiem słodkiej papryki, pomidorów i cebuli.

Na drugie danie dostajemy: "Siedmiogrodzki talerz drewniany"! To się naprawdę je z wielkim apetytem. Na bajecznie kolorowym drewnianym talerzu, znajdują się trzy porcje mięsa, każde inaczej przyprawione. Duże porcje, jak dla żarłoka. Do tego chrupiące frytki i kilka rodzajów sałatek z surowych warzyw. Dla dekoracji, w talerz wbity jest mały ostry nóż! Mięso rozpływa się w ustach, jeden kawałek szpikowany jest wędzonym boczkiem, inny nadziewany czerwoną papryką. Do mięsa podano czerwone wino "Egri bikaver". Na deser kawa czarna jak piekło i aromatyczna oraz tort czekoladowy z bitą śmietaną. Ojej, czy ja nie zdurnięję od tych przysmaków? Czy potrafię się przestawić do życia w naszej siermiężnej ojczyźnie?

Z drugiej sali dobiegają dźwięki czardasza granego przez cygańską orkiestrę, chodzącą od sali do sali. Podchodzą do naszego stolika, a prymas gra dla mnie czardasza Montiego. Natychmiast przypomina mi się Rynek krakowski, gdzie siedzieliśmy z Ojcem, a Cyganie grali dla mnie właśnie tego czardasza. Pan Sven podaje prymasowi jakieś banknoty, chyba dolary, bo Cygan się rozaniela i pochylony nade mną, gra jeszcze kilka innych utworów z operetek węgierskich Kalmana. Po raz pierwszy od dnia przyjazdu na Węgry, jestem w znakomitym humorze. Przed obiadem wymogłam na moim towarzyszu, że płacimy po połowie. Nie pożałuję tych pieniędzy, bo jutro już wyjeżdżamy i wkrótce czeka mnie powrót do ubogiego kraju i nie lubianej pracy.

Przepraszam i wychodzę do toalety poprawić makijaż. Odruchowo rzucam okiem na zegarek i stwierdzam z przerażeniem, że już 19- ta, i trzeba koniecznie wrócić do hotelu. Po powrocie do stolika proszę pana Svena, aby zawołał kelnerkę, bo chcę zapłacić. Okazuje się, że rachunek już zapłacony. Nie zgadzam się i próbuję zwrócić moją połowę kosztów.

- Ja prosić, ja płacić! - śmieje się Szwed i prowadzi mnie do wyjścia. Wsiadając do auta, raz jeszcze oglądam się na uroczy lokal. Nigdy nie zapomnę chwil tak przyjemnie tu spędzonych.

Robimy pożegnalną rundę dokoła najpiękniejszych zabytków, patrząc po raz ostatni na Zamek, Górę Gellerta, Parlament i pędzimy szerokimi, oświetlonymi kolorowo ulicami w kierunku Visegrád. Z piersi wrywa mi się rzewne westchnienie: Viszontlátásra Budapeszt...

Po drodze pan Sven opowiada mi, że wielu jego kolegów pożeniło się z Polkami i bardzo sobie żony chwalą, bo Polki są gospodarne, dobre matki, a polska kuchnia bardzo smaczna. Szwedki nie lubią wiele czasu poświęcać domowi i rodzinie, racząc małżonków gotowymi daniami i zupami z puszek, jak w Ameryce.

- A pani Ela umi gotować pigos? To taka dobra rzecz z kapusta. Umi?

- Naturalnie, że umiem. Najlepszy jest bigos myśliwski. Jadł pan kiedyś?

- Nie. Mama gotować taki zup z buraki. Na święta. Jak to się mówi?

- Barszcz czerwony.

- Aha. Trudna mowa. Ja lubi pierogi. A co jeszcze gotować w Polska?

Robię krótki wykład kulinarny, wymieniając popularne potrawy i tłumaczę jak należy je przygotować. Pan Sven jest smakoszem, lubi dobrze zjeść i zna się na kuchni. Rzeczowo omawia potrawy, jakie jadł za granicą. Od spraw kulinarnych przechodzimy do osobistych zwierzeń. Szwed opowiada mi, że od siedmiu lat jest po rozwodzie, a ex żona wyjechała do Włoch i tam po raz drugi wyszła za mąż. Pokazuje mi kolorowe zdjęcie swego domu, w którym sam mieszka na przedmieściu Malmö. Dom jest śliczny, stoi w brzozowym lasu należącym do pana Svena. "Boże, jak to ludzie pięknie mieszkają"... - wzdyham cicho. W domku mogłyby zamieszkać swobodnie trzy rodziny, bo ma dziesięć pokoi i cztery łazienki!

Mam ochotę wspomnieć Szwedowi, że u nas mieszkamy w naszych M-3 i M-4, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Nie lubię uskarżać się do obcych na nasze narodowe bolączki, bo ich to wcale nie obchodzi, a my sami stawiamy się w bardzo niekorzystnym świetle, jako wieczni żebracy. Pan Sven w przyszłym roku służbowo wybiera się do Polski i prosi mnie o informację, co warto u nas obejrzeć. Jestem gorącą wielbicieleką mojej ojczyzny i natychmiast zaczynam terkotać, opowiadając z entuzjazmem o Krakowie, Zakopanem, Jeziorach Mazurskich, Puszczy Białowieskiej i Bieszczadach. Wspominam o muzeach i zamkach, które powinien odwiedzić, kończąc wycieczkę na Warszawie i jej wspaniałej burzliwej historii.

Szwed notuje nazwy miejscowości i obiecuje, że na pewno znajdzie czas, by zwiedzić ojczyznę swej matki. Niespodziewanie proponuje, żebyśmy do siebie pisali i wręcza mi swoją wizytówkę z adresem i telefonem. Prosi o mój adres. Nie lubię, no wprost nie cierpię, rozdawania zdjęć, adresów i telefonów. Zgodnie z tą zasadą uroczyście obiecuję, że pierwsza do niego napiszę i wtedy podam adres i numer telefonu, żeby mógł do mnie zadzwonić. Przez chwilę się sprzecamy, bo Szwed nalega, ale w końcu musi ustąpić. Patrzy na mnie kątem oka i z rezygnacją potrząsa głową mrucząc, że Polki są bardzo uparte.

- Jak mój mama! - wzdycha.

Śmieję się z jego żalosnej miny i zapewniam, że jestem osobą słowną i danego przyrzeczenia dotrzymam. Dojeżdżamy do Visegrád, przed nami hotel oświetlony kolorowymi lampami. Rozchodzimy się do swoich pokoi. Na szczęście, naszych wycieczkowiczów jeszcze nie ma. Zaparzam kawę - dziś czwartego szatana - i zasiadam do biurka, żeby na gorąco spisać wrażenia. Ktoś puka do drzwi i przerywa mi pisanie. To pan Sven przyszedł się pożegnać, za nim boy taszczy piękne skórzane walizy.

- No, Fröken Ela, dać mi adres! - nalega z uśmiechem.

- Napiszę z Polski, słowo! Przyślę ładną pocztówkę. - obiecuję, unosząc dwa palce do góry.

- Fe, jaka uparta. To ja czekać, a potem jadę do Polski, gut?

- Gut. Bon voyage. Dziękuję za piękny, ciekawy dzień.

- Nie, to ja denkuje i czekać...

Całuje mnie w rękę "po polski" i wychodzi. Bardzo miły i sympatyczny człowiek, jaka szkoda, że tak późno się poznaliśmy. Wychodzę na balkon i macham mu na pożegnanie ręką. Za moment srebrne Volvo znika za zakrętem serpentyny.

Nasi wycieczkowicze wracają po ósmej, bardzo zadowoleni z zakupów.

- Żałuj, że nie byłaś! - mówi Marysia.

- Żałuj, że pojechałaś! - odpowiadam i korzystając, że jesteśmy chwilę same, opowiadam jej o panu Svenie. Koleżanka patrzy na mnie z osłupieniem i znacząco puka się palcem w czoło.

- Ty idiotko, czemu nie dałaś mu adresu? - pyta, posyłając mi wymowne spojrzenie. - Tylko nie zawał sprawy i napisz do niego.

- Jasne, napiszę. - obiecuję, pokazując jego wizytówkę.

Marysia kiwa z uznaniem głową i uśmiechając się łobuzersko mruczy:

- Wiedziałaś, że coś z tego będzie!....

Nie idziemy po kolacji spać, bo będzie pożegnalna zabawa. Na kolację podają nam sałatkę jarzynową, (porcyjki jak dla przedszkolaka), kieliszek wina i jedno ciasteczko. Bryndza! Dla formy

skubię ciasteczko, tak się najadłam w Budapeszcie, że nie mam ochoty na to marne jedzonko.

Pytam Marysię, co jedli na obiad?

- Ryż! - syczy, krzywiąc się z wyrazem obrzydzenia.

Z ubolewaniem stwierdzamy, że ktoś na nas robi złoty interes. Po kolacji zachodzimy do coctail - baru, gdzie jest dansing. Półmrok, dyskretna muzyka i kolorowe punktowce prowadzące pary na parkiecie. Na sali wielu gości, przeważnie Niemcy z RFN i Anglii.

Polacy nie potrafią się bawić bez alkoholu. U Niemców czy Brytyjczyków, na stoliku kieliszek wina lub butelka wody mineralnej. U naszych panów, baterie butelek z wódką, winem, lub koniakiem, na kuraż! Ktoś intonuje przepitym basem: - Góralu, czy ci nie żal..... - zagłuszając orkiestrę.

Oj, żal mi tej ślicznej nocy sierpniowej przepitej w dusznej sali. Tańczę dwa razy z panem z naszej wycieczki. Szeptem zwierza się mi, że kupił piękną biżuterię i koniecznie chce mi ją pokazać w swoim pokoju. "Człowieku - myślę zniesmaczona - daj ty mi święty spokój. Ja mam głowę pełną marzeń, a ten głupek wyjeżdża mi z propozycją seksualną. Żona powinna wybić mu z głowy amory, za pomocą wałka do ciasta lub patelni."

Kpinami zbywam nalegania zalanego adonisa i odsuwam się od niego na przyzwolitą odległość, bo facet lubi tango - przytulango, a ja nie! Gość jest już po kilku głębszych kieliszkach i próbuje mi się wypłakiwać na małżonkę, która go wcale nie rozumie. Powoli zaczyna mnie to wkurzać i w końcu mówię zniecierpliwiona:

- Niech pan nie narzeka, bo każda kobieta jest przekonana, że ma męża idiotę, dziecko geniusza i nie ma się w co ubrać! Ja nie odbiegam od normy, więc proszę nie mieć złudzeń. Dobranoc!

Opuszczam salę i wychodzę na balkon, żeby popatrzeć na Dunaj nocą. Ogromna rzeka mieni się tysiącem różnokolorowych świateł. Nad głową mam granatowe niebo pełne jasnych gwiazd. Noc jest bardzo ciepła, przeniknięta zapachem róż, wielce romantyczna. Chętnie poszłabym jeszcze na spacer, lecz nie mam z kim. Robi się późno i czas do łóżka. Koleżanki są już w pokoju, więc kapiemy się kolejno i wskazujemy do łóżek. Marysia momentalnie zasypia, a my z panią Marylką, opowiadamy sobie zabawne historyjki, chrupiąc orzeszki w czekoladzie. Cieszymy się, że jednak przywieziemy coś do domu.

Węgry żegnają nas śliczną letnią pogodą, zapowiada się upał, więc wkładam lekką bluzeczkę, a spodnie i kurtkę chowam do torby. Pakujemy się z pośpiechem, bo wyjeżdżamy wcześniej, żeby jeszcze w nocy dotrzeć do Polski. Na śniadanie dają nam kanapki z jajkiem i salami, twarde jak podeszew. Przez to cholerne salami cały dzień mam kłopoty z żołądkiem. Przed wejściem do hotelu robimy pożegnalne zdjęcie i wsiadamy do autokaru. Oglądam się jeszcze na niknący za drzewami hotel, przeżyłam tu kilka przyjemnych chwil. Ginie nam z oczu góra zamkowa i śliczny Visegrád, mijamy Esztergom i z wielką szybkością pędzimy po gładkiej szosie, trzymając się brzegu Dunaju. W jakimś miasteczku kupujemy na drogę winogrona i pomidory, wypalając przy okazji papierosa. Wstrętny nałóg!... Powoli znikają wzgórza, bo jesteśmy już na Nizinie Węgierskiej i zbliżamy się do granicy. Dunaj niknie nam z oczu, piękny szary Dunaj. Zobaczymy go jeszcze w Bratysławie.

Kierowca włącza radio i łapie Warszawę. W dzienniku podają wiadomości o jakichś zajściach w województwie jeleniogórskim. Chyba znowu ta "Gencjana". Wiadomości są raczej pesymistyczne, wszędzie strajki, manifestacje, widocznie sytuacja w Polsce jeszcze się zaostriżyła. Jezu, żeby tylko nie zamknęli granicy! Strach pomyśleć, co by się z nami tu działo. Rozmyślam o zamieszkach w kraju i przychodzą mi na myśl krytyczne uwagi Węgrów pod naszym adresem. Nasz przewodnik węgierski zauważył nie bez słuszności, że nie powinniśmy skarżyć się na puste sklepy. Ostatecznie żaden rząd nie robi cudu i nie napelni półek sklepowych towarami, kiedy fabryki stoją. Trudno się z nim nie zgodzić.

O piętnastej zatrzymujemy się w Brnie. Mamy czekać na 90 koron i biegamy z nimi po całym mieście szukając kantoru wymiany walut. Orbisowska organizacja znowu spletała nam figla! Obiad spożywamy w małej i kiepskiej restauracyjce. Jakaś cienka zupka i knedliki z piwem.

Wspominam Budapeszt - ech, łza się w oku kreci! ... Za uzyskane korony, kupuję Ojcu tytoń do fajki, a sobie świetny puder Dermacol.

Mieliśmy się zebrać przy autokarze o 16-tej, ale towarzystwo porozchodziło się po mieście i trzeba na nich czekać. Wspominając moje dziesięć minut spóźnienia w ABC w Esztergom, mam satysfakcję, bo nasi wycieczkowicze każą na siebie czekać ponad dwie godziny. Pilotka wygląda jak chmura gradowa, z której zaraz strzeli piorun. Od wyjazdu z hotelu ma bardzo zły humor i prawie wcale z nami nie gada. Niestety, nie udało się jej z naszym przewodnikiem węgierskim. Romans się skończył, zanim się na dobre zaczął. Węgier nie pokazał się już wcale na pożegnalnym wieczorze, chociaż wiemy, że był zaproszony. Widocznie wolał chłopak nie ryzykować. Pani pilotka tęsknie za nim wyglądała, a kiedy nie przyszedł, była wściekła i na wszystkich warczała. Zdaniem naszych wycieczkowiczów, brak jej zdolności do tej pracy.

Zaś moim skromnym zdaniem, powinna się zatrudnić jako przodująca dojarka z najbliższym PGR-rze, mogłaby wyżywać się na krowach! Kierowca klnie jak szewc, bo chce w nocy przekroczyć granicę i dojechać do Wrocławia, tymczasem naszych milusińskich nie ma. Zapadli się jak kamień w wodę. Na domiar złego śliczna pogoda nagle się psuje i z pochmurnego nieba zaczyna kropić deszcz.

Wraz z pierwszymi kroplami spływają do autokaru spóźnialscy, obładowani tobołkami i paczkami. Pilotka wita ich histerycznym wrzaskiem, kierowca ciśnie gaz do dechy i ruszamy z kopyta. We wnętrzu autokaru rozpoczyna się głośnie pyskówka pomiędzy spóźnialskimi a pilotką. Kilku wycieczkowiczów odważnie wylicza jej grzechy powszednie. Dobrze jej tak! Całą drogę umilała nam życie, dbając tylko o swój kuper i handelki. Nami się prawie zupełnie nie zajmowała i należy się jej kilka słów twórczej krytyki.

Zamykam okno, bo nagle zrobiło się bardzo chłodno i wieje jak z lodówki, a ja mam na sobie tylko lekką bluzeczkę. Wokół nas szara gęsta mgła i krople wody spływają po szybach. Kierowca zwalnia, bo szosa śliska i łatwo o wypadek. Lepiej przyjechać nieco później, niż leżeć w szpitalu z połamanymi kończynami, albo w kostnicy. Dojeżdżamy na Morawy i tutaj znowu zmiana pogody. Wyjaśnia się, niebo pełne gwiazd, lecz za to przejmujący chłód, bo pewnie w górach przymrozek. Drogi są naprawdę bardzo śliskie i niebezpieczne. Wolno wspinamy się serpentynami coraz wyżej i wyżej, kierowca musi zachować najwyższą ostrożność, aby nie wpaść w poślizg i nie zjechać w przepaść otwierającą się z boku szosy, lub nie uderzyć w drzewo. Za oknami ciemna noc i silny wiatr, słyszymy jak szumi w lesie.

Jestem już bardzo zmęczona i senna, bo w ciągu dnia mieliśmy tylko dwa krótkie przystanki na papierosa i obiad. Wzdycham z ulgą, kiedy o północy dowlekliśmy się do czeskiej granicy. Czescy celnicy nie przypominają uprzejmych Węgrów, a ściślej mówiąc zachowują się po chamsku, pokrzykując na nas i przedstawiając ludzi jak figury na szachownicy. Przewracają mi torbę do góry nogami i czepiają się zagranicznych papierosów kupionych na Węgrzech. Każą mi zapłacić za nie cło! Nie mam już ani korony, a zresztą paczka z papierosami jest otwarta. Tłumaczę im, jak komu dobru, że to przecież nie są ich papierosy, tylko amerykańskie, a celnicy węgierscy na przejściu granicznym nie mieli żadnych uwag. Dopiero po dłuższej wymianie zdań, celnicy raczą darować mi cło. Ale na tym sprawa się nie kończy, bo polecają mi pokazać dokumenty i przetrząsać torebkę, jakbym tam ukryła co najmniej bombę atomową.

Pomimo zimna i rozsadzającej mnie wściekłości, nucę sobie pod nosem piosenkę z Kabaretu Starszych Panów: "My jesteśmy straszne dranie. Dranie tanie niesłuchanie"....! Ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania i cała telepię się z nerwów. Nareszcie przekraczamy polską granicę. Uff!

Wcale nie uff, bo trafiliśmy z deszczu pod rynnę! Polscy celnicy są w bojowym nastroju i mają wesoły zamiar rozebrać nam autokar na części. Brutalnie rozkazują nam wysiąść z wozu i przeszukują bardzo dokładnie bagaże. Rany boskie, jak coś znajdą, to każą nam tu siedzieć do rana. Stoimy przy wozie i dzwonimy zębami, bo powietrze górskie jest lodowate. Podejrzewam, że jest nieco poniżej zera, a my wszyscy ubrani jesteśmy na letniaka. Kurtki i spodnie w torbach, a torby w rękach celników, którzy nie przejmują się nami. Trzęsę się jak galaretka i przeklinam wszystkich

handlarzy, ponieważ to przez nich ta cała sekatura.

Nie tylko nam się dostaje, bo widzimy, że w pobliżu celnicy rozbierają jakiegoś "malucha" dosłownie na czynniki pierwsze, zaglądając w każdy otwór. Przypominam sobie domniemanych "Amerykanów" z Vaci utca i życzę im serdecznie solidnego przetrzepania na granicy. Tamto nie ma nic wspólnego z przywiezieniem z konieczności do kraju brakujących artykułów spożywczych. To nie przyjemność, lecz po prostu mus. Chciałabym wybrać się na zagraniczną wycieczkę jedynie w celach turystycznych, myśląc o przyjemnościach zwiedzania obcych krajów, a nie zakupie artykułów spożywczych.

Jesteśmy tak zmarznięci, że przypominamy sine sople lodu. Oj, zdaje się, że celnicy zwęszyli bardziej interesujący towar, niż kawa i szynka w puszcze. Pewnie dostali cynk, że ktoś przemyca drukarki, radiostację, lub coś równie paskudnego. Dlatego tak się miotają i dają nam w kość. Jedna z naszych pań, ma za dekoltem cały zwitek banknotów dolarowych i dosłownie mdleje ze strachu, że ją celnicy dorwą. Na szczęście nie grozi nam rewizja osobista i kobieta może spokojnie odetchnąć.

Ruszamy w dalszą drogę dopiero o drugiej nad ranem. Źle się czuję, bolą mnie płuca i wiem, że bardzo się przeziębiam stojąc na mrozie. Próbuję zasnąć, ale zmęczenie mi na to nie pozwala. Wyciągam więc torebkę, żeby sprawdzić czy mam wszystkie dokumenty. Na szczęście nic nie zginęło na czeskiej granicy. Dla porządku sprawdzam boczną przegródkę, gdzie włożyłam wizytówkę pana Svena. Nie ma. Gorączkowo przerzucam wszystkie drobiazgi, wykładając je na stoliczek, raz i drugi.

Ale już wiem, że wizytówki nie znajdę. Z całą pewnością jej nie zgubiłam, tylko wyjęto mi ją na granicy. Pewnie celnicy podejrzewali, że to może być kontakt szpiegowski. Nie napiszę już do Malmö. Pozostały mi tylko wspomnienia i żal, że niemądrym uporem sama sobie zaszkodziłam. Wolę nie wspominać o czym myślałam, patrząc na pustą przegródkę torebki.

Na horyzoncie już widać światła naszego miasta. Autokar zatrzymuje się w pobliżu mego domu. Wyskakuję z samochodu i wyciągam z bagażnika ciężką torbę. Trochę przy tym zamieszania, bowiem torba leży ostatnia w rogu wozu i przez moment wydaje mi się, że jej nie ma.

Jeszcze tylko tego by mi brakowało do szczęścia. Serdecznie żegnam się z koleżankami, a pilotce ironicznie dziękuję za troskę i "miły uśmiech". Obładowana, idę wolno przez park i widzę, że w oknie naszego mieszkania świeci się światło. Jak latarnia morska wskazuje mi drogę w ciemności. Mimo bardzo późnej, a może nawet wczesnej pory, Ojciec już na mnie czeka z gorącą herbatą. Biegnę po schodach, nie czując już ciężkiej torby i zostawiając za sobą wszystkie zmartwienia.

Nareszcie jestem w domu!